

Przedza Snów

Text Copyright ©Agnieszka Włodyka 2018

Zdjęcie i projekt okładki Copyright ©Daniel Farrington Photography 2018

Czcionka Apolonia, Apolonia Grafia, Apolonia Nova OT copyright ©Piotr Wełna

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Autorki. Dotyczy to także rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych oraz fotokopii i mikrofilmów.

Niniejsza powieść jest dziełem fikcyjnym. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych zdarzeń i postaci jest przypadkowe.

Wydanie I, 2018

agnieszka.wlodyka@gmail.com

<https://podkladka.blog/>



Agnieszka  
Włodyka

*Przedza Snów*



Jesteś mój surondeem,  
Z którego sny się wyrabia, a życie  
To chudła jady między chłonna snami.

William Shakespeare, „Burza. Zimowa opowieść”,  
akt 4, scena I, przekład S. Barańczak



## Rozdział 1

W spokojne, tryskające zielenią czerwcowe popołudnie tłoczyły się ciężkie fale ciepła. Rozalia usiadła na schodach werandy, wystawiła twarz do słońca i spod zmrużonych powiek śledziła łagodny, sielski, ospały puls życia okolicy.

Nad leniwie brzęczącą w dolinie rzeką snuły się popielate smugi dymu z ogniska rozpalonego przez wczasowiczów. Śmiech, rozmowy i wybrzdąkiwane na gitarze stare harcercskie przeboje rozbijały się echem o okoliczne pagórki. Ponad błękitną wstążką leniwej wody Cąberki, w górę polnej drogi wiodącej z Ruczaju przez przysiółek Jeziorka do Wólki Bukowskiej równym sznurem przemierzała się grupa konnych. Z daleka jeźdźcy przypominali wolno pełznącą gąsienicę, której głową był przewodnik, Kostek Ulman. Rozpoznała go, gdy podniósł się w strzemiionach, by poinstruować jednego z uczestników kursu jazdy o prawidłowym dosiadzie. Wenecja, klaczka, którą dojeżdżał, strząsała łbem próbując odrzucić ze spoconego karku grzywę. Kostek poklepał kasztankę po szyi i ruszył, powodując koniem z imponującą wprawą, jakby stanowili jeden organizm.

Jeźdźcy wkrótce wtopili się w gęstwinę bukowego boru, a Rozalia zwróciła wzrok w kierunku zabudowań wiejskich. Stary Toporowicz pędził środkiem wiejskiej drogi swoje trzy mizerne krowy w kierunku mostu wiodącego na drugi brzeg rzeki, gdzie ścieliły się płachty tłustych łąk i bujnych zbóż. Za tą przeszkodą ugrzązł rowerzysta w krzykliwej seledynowej koszulce, dając ujścia swojej frustracji w nerwowym tupaniu nogą o pedał. Najwyraźniej marzyła mu się wycieczka malowniczą wiejską trasą bez uniedogodnień w postaci autochtonów i ich inwentarza. Sprawy nie ułatwiał fakt, że z naprzeciwka nadeszła Bożelówna, kołyszac na

ramionach nosiła zrównoważone dwoma emaliowanymi wiadrami. Początek lata był bardzo suchy, więc w wyżej położonych gospodarstwach studnie wysychały, a mieszkańcy musieli odwołać się do tradycyjnej metody pozyskiwania wody z leśnego źródła, spływającego do Cąberki. Bożelówna przystanęła, by pokłonić się sąsiadowi i zamienić z nim grzecznościowe uwagi o pogodzie, kolarz zaklął i przeprowadził rower przydrożną fosą.

Lekki wiatr westchnął od strony nadrzecznych łąk, chuchając w twarz Rozalii zapachem wysychającego siana i kołyszając różnokolorowymi łepkami cynii na rabacie przy ścieżce. Wraz z nim od strony zachodu nadkłębiły się białe chmury o bębniastych brzuchach. Ich podniebny balet uwięził uwagę Rozalii na dłuższą chwilę.

Westchnęła. Jakże te idylliczne, tchnące spokojem sceny kontrastowały z tym, co działo się za jej plecami.

A działa się właśnie paskudna awantura.

Z założenia sytuacja miała rozwinąć się w zupełnie innym kierunku. Rozalia przygotowała sobie zapobiegawczo różne scenariusze tego, jak potoczyć się mogła rozmowa z wujostwem, żaden jednak nie przygotował jej na ten mało prawdopodobny rozwój wypadków.

Zaczęłyby zwyczajnie: rodzino – jestem w ciąży.

Tak, wiem, że zawalę przez to rok na studiach. Wezmę dziekanę, potem przeniosę się na tryb zaoczny... Po studiach? Tak, wiem, jak może samotna matka z dzieckiem pracować tak ciężko. Nie, nie zmienię kierunku studiów.

Pieniądze? No, wynajmuję przecież mieszkanie dziadka w Lesku. Zawsze mogę je sprzedać.

Tak, wiem, że jestem młoda, nieodpowiedzialna i taka sama jak moja matka. Ale młodsze dziewczyny miewały już potomstwo w historii ludzkości.

Nie, nie stroję sobie żartów.



Tak, wiem, że ledwie się wyrwałam na te studia do Warszawy i już narozrabiałam. Że byłam taką cichą wodą, taką dobrą dziewczyną, a teraz...?

Wiem, że wstydy, Sodoma i gromy niebieskie.

Że jest dwudziesty pierwszy wiek, że młodzież niby teraz taka oświecona.

Ojciec? A, ojciec. Wybrał karierę. Ma szansę naprawdę się wybić, a dziecko, no, który szanujący się muzyk nie zostawił po drodze nieślubnego potomka tu czy tam. Zaproponował rozwiązanie, ale nie było do przyjęcia.

Jak to, jakie rozwiązanie.

„Zlikwiduj ten problem” – powiedział.

Może szklankę wody, ciociu? Oczywiście, że nawet tego nie rozważam.

Zlikwidować to można przedsiębiorstwo, stanowisko pracy. Wszy na głowie albo perz w ogródku. Ale nie – dziecko.

Jak mogłam z takim? No, zakochałam się. W kim innym może zakochać się dwudziestojednoletnia dziewczyna, jeśli nie w rozkochanym grajku z uśmiechem łobuza. I on też zachowywał się, jakby był zakochany. Tak, teraz już wiem, czego chciał. Ale przecież nie miałam możliwości odczytać jego myśli.

Mogłam odczytać jego sny, ale tylko wtedy, kiedy było już za późno.

Miała przygotowaną odpowiedź na każde pytanie, każdy zarzut. Przygotowała się na gniew, rozczarowanie, rozpacz, wyrzuty, smutek. To, na co się nie przygotowała, to gwałtowne zwrócenie treści żołądkowej prosto na stół kuchenny, zastawiony deskami surowych pierogów ułożonych na czystych lnianych ścierkach w równe rzędkie, a przeznaczonych na obiad dla gości wczasowych prowadzonego przez wujostwo gospodarstwa „Nad Ruczajem”.

Następujące reakcje wystąpiły u zgromadzonej w kuchni rodziny:

- Matko jedyna, Rozalia! – wrzasnęła ciotka Melania, upuszczając na podłogę sklejanego pieroga, przy czym drobno posiekana kapusta z grzybami, której nie zdążyła zalepić ciastem, rozbryzgnęła się po podłodze i szafkach.

Wujek Tadek najpierw odskoczył od stołu, a potem doskoczył do Rozalii i w bohaterskim geście odgarnął na plecy jej nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności rozpuszczone włosy.

Edytka, znana zarówno ze słabych nerwów, jak i słabego żołądka, w rekordowo krótkim czasie zmieniła barwę лица ze szlachetnego różu na pospolitą zieleń i wybiegła przez kuchenne drzwi na taras, a stamtąd w sad, skąd wkrótce dobiegły odgłosy świadczące o tym, że drugie śniadanie kuzynki wylądowało właśnie na rabatce poziomek.

Tomek i Romek, do tej pory zaabsorbowani pochłanianiem świeżo ugotowanych pierogów, podnieśli głowy z większym opanowaniem, gdyż znajdowali się poza obrębem siły rażenia.

- Różka, bidulko! – zaśmiał się Tomek, na którego poczucie humoru w chwilach całkowitego upokorzenia zawsze można było liczyć. Nie przerywając przeżuwania, zaczął przetrząsać szafki w poszukiwaniu wiadra, które też dostarczył błyskawicznie. Zimna krew szła u niego w parze z tendencją do nieprzyjmowania życiowych okoliczności na serio.

Romek zaś, łudząco podobny do brata z wyglądu, lecz o zgoła odmiennym charakterze, skrzywił się z niesmakiem i przysunął do drzwi tarasowych, gdzie mógł liczyć na skąpy powiew świeżego powietrze. Uczynił to jednak na tyle niezdarnie, że nastąpił na ogon Bandyty. Pies zawył, a Romek, zaskoczony na ogół zakazaną obecnością czworonoga w kuchni, potknął się o wystające linoleum i zasyczał przeciągle, obiwszy sobie na kancie szafki ogonową kość.

W ciszy, która nastąpiła po zakończeniu tego chaosu wypadków, dziadek Dziunek, siedzący do tej pory ze stoickim spokojem na zapiecku, odezwał się w te słowa:

- Rozalcia, jaka ty do mamy podobna... Twoja mama też tak rzygała, jak była w ciąży.



W ten oto sposób, zamiast prowadzić rzeczową, konstruktywną rozmowę o zaistniałej sytuacji, pół godziny później wykapana i przebrana Rozalia siedziała na tarasowych schodach, starając się ignorować krzyki starszyny dobiegające z wnętrza domu. Bandyta, który wyczuwał napiętą atmosferę, położył łeb na kolanach swojej pani, by dodać jej otuchy. Pirat, jak to kot, nic nie robił sobie z otoczenia, lecz przydreptał z gracją i łaskawie pozwalał głaskać się po śnieżnobiałym grzbiecie.

Najgłośniej i najczęściej wrzeszczała ciocia Melania. Jej argumenty były repetytywne jak zapętłona do znudzenia piosenka w odtwarzaczu i ograniczały się do frazesów typu „historia lubi się powtarzać” i „tak samo się stało, jak i z matką”. Należało jej wybaczyć brak polotu, bo kto w stanie zupełnego wzburzenia potrafi myśleć kreatywnie? Rozalia skrzywiła się pod wpływem nagłego poczucia winy. Jeszcze wczoraj wieczorem ciotka śniła proste sny o pieleniu ogródka i czekających ją porządkach na grządce i w sadzie.

Uciszał ją, niezbyt skutecznie, wujek Tadek. Tu przeważały usilne prośby, ażeby Mela uspokoїła się, że dziecko nigdzie nie ucieknie (na co wyobraźnia podsuwała Rozalii groteskowe wizje), że w nerwach nic nie wymyślą, żeby Tomek się nie wtrącał, żeby Romek się nie wtrącał, a w ogóle to dlaczego dziadek się nie odzywa?

Mniej aktywny w dyskusji Romek przekonywał, że może by tak dziewczyny nie straszyć, bo cała rodzina zachowuje się w tej chwili jak banda dzikusów. Wdzięczność, jaką odczuła Rozalia po tej wypowiedzi, rozmyła się w nicłość, gdyż zaraz potem kuzyn wyjawiał, że po pokornej, przyzwoitej Rozalce „tego” się nie spo-

dziewał. Zawsze myślał, że to Edyta przyniesie do domu bękarciąt-ko.

Tomek zaś prosił, żeby Romek zachowywał się, jak przystało na człowieka dorosłego i dżentelmena. Przekonywał, że na to wszystko jest jakieś logiczne wytłumaczenie, cokolwiek myśl tak sformułowana miała oznaczać.

Mimo upływu czasu wymiana zdań zdawała się nie osiągać punktu zwrotnego, wobec czego Rozalia nakazała sobie w wyobraźni wyjść poza obręb tej swoistej tragedii. Zamknęła uszy na lament rodzinnego chóru, zsunęła się ze stopni werandy i okrążyła dom. Bandyta i Pirat, równie znużeni bezowocną awanturą, ruszyli w ślad za nią.

W starym, wyrodzonym sadzie owocowym, którego najstarsze drzewa wciąż obnosiły blizny od kul z obu wojen, chciała poszukać ciszy i ulgi od smagającego bezlitośnie żaru. Zazwyczaj dobrze znosiła upały, lecz teraz stały się dla niej dokuczliwe. Zatrzymała się pod ugiętym konarem sztetyny rosnącej na skraju zgrupowania jabłoni, gdy dostrzegła dwie sylwetki, ostrożnie schodzące wzdłuż ścieżki na granicy lasu w kierunku domu Hawartów. Przytuliła przedramię do czoła, chcąc osłonić oczy od potoku słońca, by lepiej się przyjrzeć spacerowiczom. Uświadomiła sobie, że podczas kuchennego epejsodionu zawieruszyły się jej okulary.

Bandyta, który przysiadł u jej stóp, zerwał się na równe łapy i zaczął przyjaźnie merdać ogonem i przeskakiwać z boku na bok, co oznaczało, że przynajmniej jeden ze zbliżających się gości jest mu znajomy. Wkrótce i Rozalia rozpoznała zarządcę Puszczy Bukowieckiej, Marka Bugaja, po jego charakterystycznym chodzie, z pochylonym tułowiem i niespiesznymi, rozważnymi krokami.

Uczucia Bandyty i Rozalii do pana Marka, pomimo tego, iż jedno z nich było młodą dziewczyną, a drugie kilkuletnim wilczakiem czechosłowackim, były jednakowe. Począwszy od bałwochwalczego uwielbienia, przez przywiązanie i posłuch, na platońskiej miłości skończywszy.

W oczach Rozalii Marek był gigantem. Uważała go za swojego rycerza i opiekuna od chwili, gdy specjalista ochrony przyrody i opiekun małego leśnego rezerwatu znalazł ją zaginioną w puszczy. Miała zaledwie pięć lat. I choć dla większości dorastających ludzi bohaterowie dzieciństwa z czasem kurczą się i powszednieją, przyrodnik pozostał dla Rozalii niekwestionowanym autorytetem w zagadnieniach rozciągających się od ekologii lasu do prawideł działania wszechświata. Zainspirowana pracą Marka, zarażona jego miłością do puszczy i jej mieszkańców oraz misją chronienia tego dzikiego zakątka, wybrała jako kierunek studiów hodowlę i ochronę zwierząt towarzyszących i dzikich, by móc w przyszłości przejąć po nim pałeczkę i oferować swoją pomoc w nowopowstającej lecznicy dzikich zwierząt. Ten projekt był ulubionym pomysłem Marka i po wielu latach starań właśnie zbliżał się do realizacji. Zdawała sobie sprawę, że pod wieloma względami Marek stanowi w jej życiu figurę zastępującą ojca, czego nie dało się powiedzieć o kochanym, ale nieco ciapowatym i bujającym w obłokach wujku Tadku. Jeśli chodzi o Bandytę, Marek ze swoją pogodną stanowczością i twardym charakterem stanowił dla niego samca alfy w stadzie. Pies był zresztą podarunkiem od Marka. Bugaj uratował szczeniaka od uspienia, które czekało go niechybnie, gdyż z widoczną wadą nie spełniał wymogów swojej rasy. Podziw, jaki Rozalia miała dla swojego mistrza, wzrósł tylko odkąd zyskała wgląd w jego sny.

Uwielbienie, jakie dla swojego mentora żywiła Rozalia, było zresztą tylko słabym refleksem jego bezgranicznej miłości do ocalonej dziewczynki. Tamtej nocy u schyłku maja, kiedy postawione w stan gotowości służby całego powiatu Woli Bukowieckiej przeczesywały lasy od Cembrzastego aż po Wólkę, to właśnie on znalazł zagubione w gęstwie lasu kilkuletnie dziecko. Siedziała na pieńku powalonej sosny i płakała cichutko, drżąc z zimna w bawełnianej szkolnej bluzeczce i krótkiej plisowanej spódniczce założonej na golusieńskie nogi. Zbliżył się do niej, przemawiając

cicho i łagodnie, żeby jej nie spłoszyć. Pięcioletnie dziecko bez strachu uniosło szczupłe białe rączki i wskoczyło mu w objęcia. W srebrnym blasku księżycy spojrzały do niego najbardziej niesamowite oczy, z jakimi się spotkał. Nieskłonny do fantazjowania, twardo stąpający po ziemi, gotów był przysiąc, że dziewczynkę leśna czarownica zmieniła w małego elfa albo nimfę. I tak też od tamtej pory się czuł – oczarowany i zaczarowany.

Rozalia wiedziała o tym wszystkim z jego snów.

Zmrużyła oczy, żeby wyostrzyć rysy jego szczupłej twarzy. Dostrzegła na niej uśmiech pod wachlarzem pedantycznie przystrzyżonych srebrnych wąsów i poczuła, jak od brzucha do płuc rozlewa się w niej przedziwne ciepło. Wiedziała, że nie jest sama i że Marek, zjawiając się jak zwykle w odpowiednim momencie, uratuje ją od zagubienia i chłodu.

Komfortowe uczucie pierchło spłoszone, gdy tylko skupiła wzrok na towarzyszu Bugaja. Nie dlatego, że był mężczyzną o strukturze kości tak idealnej, że jego szkielet mógłby stanowić eksponat w jakiejś prestiżowej przyrodniczej uczelni („Drodzy państwo, oto perfekcyjnie proporcjonalny okaz anatomicznie współczesnego człowieka”). Nie dlatego, że wciąż obleczony w mięśnie i skórę, towarzysz Marka był najpiękniejszym mężczyzną, ba, najpiękniejszym człowiekiem, jakiego dotąd spotkała. Doczesna powłoka traktowana w odosobnieniu od walorów osobowości zazwyczaj nie wywoływała u niej szczególnych doznań. Potrafiła dostrzegać i podziwiać strukturalną doskonałość męską i kobiecą, ale obserwacje tego typu miały czysto estetyczną naturę i zazwyczaj nie towarzyszyło im uczucie niepokoju.

Nie. Chodziło raczej o to, że tego człowieka, którego jej oczy oglądały po raz pierwsze w życiu, jej serce w przedziwny sposób oglądało już gdzieś, kiedyś. Znała tę piękną twarz, z mrocznymi jak omszone leśne jezioro brązowymi oczami, gładko zaczesane na bok włosy w kolorze dojrzałej pszenicy, zdecydowany podbródek, szerokie ramiona, szczupłe palce. Nie uśmiechał się przecież,

a wiedziała, że gdy to zrobi, w kącikach jego ust pojawią się ledwie zarysowane dołeczki. Zanim zbliżył się na tyle, by mogła ją dostrzec, знаła także wydatną pionową bliznę po prawej stronie nad górną wargą, która wykrzywiała jego poważnie ściągnięte usta i dodawała całej twarzy charakteru. Wiedziała także, że stojąc przy nim na baczność (a nawet na palcach!), zmieściłaby się bez trudu pod jego pachą. Nie wiedziała tylko, skąd to wszystko wie.

- O mateńko, Różka. Kochana moja, czy widzisz? – Edyta, odświeżona chłodnym prysznicem, z mokrymi włosami przerzucenymi przez ramię, dołączyła do Rozalii. Miała na sobie krótkie szorty odsłaniające śniade i opalone nogi oraz skąpy top bez ramiączek, osłaniający wszystko, co tylko można było odsłonić, zachowując pozory przyzwoitości.

Pirat, który ze swą flegmatyczną naturą nigdy nie był fanem energetycznej kuzynki swojej pani, podrapał Rozalię po goleniu, domagając się uniesienia w bezpieczną przystań jej objęć. Tu się znalazłszy, przylgnął pazurami do jej koszuli. Poza zasięgiem siły rażenia Edyty, zajął się statecznym pomrukiwaniem, które komunikowało wyraźnie dezaprobatę.

- Czy widzisz, pytam? – kontynuowała Edyta z przejęciem, nieświadoma kociej niechęci, starając się przybrać możliwie nonszalancką pozę na pniu niedawno ściętej obumarłej jabłonki. – Zobaczyłam go z okna łazienki. Zaklepuję! Zresztą, tobie mężczyźni już nie w głowie. Pieluchy! Trzymaj. – Podała Rozalii okulary.

- Oj, Edzia. – Rozalia zaczęła czyścić mankietem Inianej koszuli utyłane szkła, po czym przywróciwszy im przejrzystość, a oprawkom zielony kolor, zasadziła okulary na piegowaty, lekko zadarty nos.

- Sorry. Wylazła ze mnie wredota. A może niedługo dołączę do klubu przyszlých mam, bo coś czuję, że ten tu efeb to przyszlý ojciec moich dzieci. Z pewnością preferowałabym u potomstwa te kości policzkowe od moich. Plotę jak odurzona. *Amantes amentes*<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup>*amantes amentes* (łac.) – zakochani są jak szaleńcy.

- Wzruszyła nieznacznie ramionami, rozgrzeszając się tym gestem z kobiecej trzpiotowości, którą w gruncie rzeczy uważała za swój niezaprzeczalny atut, jeśli chodziło o kontakty z płcią przeciwną. – Cudo!

Bywali już tacy, o których Edyta myślała w podobny sposób.

- Ciszej, radzę. Marek ma słuch jak sowa – odparła Rozalia i, próbując ukryć dziwne drżenie, w które wprawiła jej ciało kuchenna scena, przykucnęła przy Bandyście. Pies, zazdrosny o uwagę, którą pani poświęciła kotu, właśnie dopominał się pieśzczoł. Przesunąwszy kota na prawe przedramię, lewą dłoń wczepiła w psie futro, cuchnące błotem z potoku, w którym Bandyta zażył porannej kąpieli. Obecnie zasiajał z zadowoleniem.

- I co, córcia? – zapytał Marek, gdy już znaleźli się w zasięgu słuchu. – Poszło wedle moich czy twoich przewidywań...? Dzień dobry! – dodał po krótkiej pauzie.

- Żadnych, obawiam się. Dzień dobry – zmusiła się do uśmiechu, który Marek był w stanie rozpoznać jako wymuszony.

- Nowego doktora z „Matecznika” wam przyprowadziłem – wyjaśnił przyrodnik, decydując najwyraźniej nie drążyć tematu w obecności gościa.

Skinął głową w kierunku towarzysza. W wyobraźni Rozalia widziała wywieszony język Edyty, z czubka którego spływała kropla śliny.

- Edyta Hawart, córka gospodarzy tutejszych – wskazał Marek, kontynuując.

- Adam Szechyński. – Nieznajomy, przedstawiając się, pochylił się i wyciągnął rękę, gdyż Edyta, w obawie o destabilizację opatentowanej pozy na uwodzenie, podała mu swoją dłoń, nie podnosząc się z miejsca.

- Witamy w Ruczaju. My tu od zawsze bardzo zżyci jesteśmy z mieszkańcami „Ulany”, wie pan, jako najbliżsi sąsiedzi. Musimy trzymać się razem.



Artyleria została wytoczona we wczesnym stadium potyczki.

- A to Rozalka – powiedział pan Marek po prostu, jakby dalsze wyjaśnienia były zbędne. Zawsze podejrzewała, że była głównym tematem rozmów Marka z obcymi, czy sobie tego życzyli, czy nie.

Wciąż oszołomiona przez kuriozalne wrażenie, że tego człowieka skądś zna, wstała, dyskretnie wytarła o nogawkę spodni obślinioną przez psa rękę i dziarsko wyciągnęła ją do weterynarza, chcąc mieć ten niezręczny (dla niej) moment za sobą.

- Miło mi – powiedziała tonem, jak miała nadzieję, uprzejmej serdeczności.

Adam Szechyński nie odpowiedział. Wpatrywał się z pozornie niezmienionym wyrazem twarzy prosto w oczy Rozalii. Potem powoli przeniósł je na oczy Pirata. I Bandyty. Rozalii, Pirata, Bandyty. I jeszcze raz Rozalii.

- Robią wrażenie, nie? – zaśmiała się Edyta, zalotnie, wyciągając szyję do słońca, które właśnie buchnęło przez rozstępy w gałęziach jabłoni.

- Kolekcjonują nas tutaj. Jesteśmy główną atrakcją „Nad Ruczajem”.

Rozbawiła ją reakcja weterynarza, a przecież była przyzwyczajona do zdziwionych spojrzeń.

Odegnęła pospiesznie natrętną myśl o tym, że właśnie te różnokolorowe, heterochromiczne oczy przyciągnęły uwagę Igora.

- Przepraszam. – Adam Szechyński jakby się ocknął i przyjął podaną rękę.

Uścisk ten, zbyt znajomy i komfortowy, rozeźlił już prawdziwie Rozalię. Dziwnych zjawisk miała w ostatnim czasie przesyć, dlatego w jednej chwili podjęła strategiczną decyzję.

Wymuszając zwrot podanej dłoni, delikatnie odstawiła kota na ziemię, wsunęła swoje oswobodzone ramię pod ramię Marka i pociągnęła go za sobą głębiej w sad. Tym samym umożliwiła

Edycie pełne roztoczenie swoich wdzięków bez postronnych świadków. Wszyscy wygrywają.

- To znaczy, że się nie wycofałeś ze swojej decyzji? – Rozalia skupiła się na twarzy Bugaja, próbując dostrzec w niej oznaki żalu.

Pojawienie się Adama oznaczało, że ostoję i lecznicę dzikich zwierząt „Matecznik”, której tworzeniem zajmował się Marek w ostatnich latach, poprowadzi już kto inny. Marek odchodził na zasłużoną emeryturę.

- To już nie na moje zdrowie. Jeszcze te dwa tygodnie pomęczę się, zanim Adam się wdroży. Ktoś musi tkwić na posterunku, zanim ty ukończysz szkołę.

- Jeśli skończę szkołę.

- E, tam. – Marek ścisnął jej ramię swoją szorstką dłonią. – To nie koniec świata. No, to co powiedzieli?

- A po co mieli coś mówić, jak mogą krzyczeć? – uśmiechnęła się, tym razem szczerze. Miała do zaistniałej sytuacji i swojej rodziny dystans. Lubiła jakby wykroczyć poza siebie samą i spoglądać na wydarzenia z boku. Bawiły ją przerysowane reakcje. – A nawet gdyby, co mogą powiedzieć takiego, żeby to coś zmieniło?

Marek zmarszczył czoło, niezadowolony. Wyraźnie miał nadzieję, że dla dobra Rozalii jej rodzina choć raz wykaże więcej rozsądku niż narobi hałasu. Ona sama wyleczyła się z podobnie naiwnego myślenia.

- Ano, nic. Ale na mój rozum, to najpierwsze powinni się o ciebie zatroszczyć.

- Troszczą się, tylko tak – na swój sposób.

- ...A nawet jak się zatroszczą, to i tak nie będą zdawać sobie sprawy, że tu nie chodzi tylko o dziecko, ale o złamane serce.

Rozalia zdobyła się jedynie, żeby w odpowiedzi zafundować Markowi zasłużoną sójkę pod żebra. Roześmiał się, zgodnie z jej oczekiwaniami.

- No, nie desperujże, waćpanna. Chodź, uratujemy pana Adama.

Oto bowiem ciotka Melania, spostrzegłszy przez okno, że jej jedyna latorośl płci żeńskiej zabawia konwersacją atrakcyjnego przybysza, zdecydowała wykazać się rozsądkiem i przerwała dyskusję na tematy rodzinne. Wychodząc do sadu przez tylne drzwi piszczła nienaturalnie wysokim głosem:

- A, to pewnie nowy pan dochtór! Od razu żem poznała. My tu zawsze powiadamy, że weterynarza to po oczach poznać, bo weterynarz każdy jeden, takie dobre oczy ma.

- Bo dyplom to już drugorzędna sprawa – szepnął lekko ironicznie Marek do Rozalii.

- ...No, Edytka, zaprosz ta pana do środka. Zamiast obiadu była, niestety, katastrofa, ale chociaż kawy się pan napije? Taki dobreńki placek z truskawkami mamy, pewnie już ostatni w roku, bo to już i po truskawkach. Ale za to te ostatnie – najśodsze! Powiedz, Edytka, panu. Edytka panu zaraz ukroi, chociażby kawałek.

- Ja właściwie zaszedłem tylko w jednej sprawie zapytać – zaczął się bronić Adam Szechyński, lecz nie wiedział, z jak twardym przeciwnikiem ma do czynienia.

- Ale...! Kawę to musowo wypić, przecie-żeśmy sąsiady.- Zbiegając po wkopanych w skarpę kamiennych płytach niczym podłotek, ciotka Melania ujęła pod ramię kawalera, który, zakłopotany i sztywny, podążył za nią do domu, z Edytką drepczącą im po piętach. – Marku, pan to jest na dyżurze? – zwróciła się do Bugaja. – Bo jak nie na dyżurze, to i jarzębinówka by się znalazła.

Rozalia poczuła, że po prostu nie ma najmniejszej ochoty uczestniczyć w tym spektaklu.

- Idź ratuj swego protegowanego, a ja się przejdę, bo mi w głowie huczy – szepnęła swojemu opiekunowi.

- No dobra, córuchna. – Marek majtnął ją niezgrabnie wąsami w policzek i poklepał po ręce.

- Chodź, Bandyta! – zacmokała na psa.

Wilczak przez chwilę stał niezdecydowany, tęsknie wodząc spojrzeniem za znikającym we wnętrzu domu Markiem. Ostatecznie zdecydował się postawić na lojalność wobec swojej pani i w podskokach pobiegł za nią. Nic tak nie cieszy psa w upalne popołudnie, co spacer wilgotną i chłodną leśną ścieżką.

Ruszyli w górę potoku, dziewczyna i pies, a następnie zeszli na mało widoczną leśną ścieżkę, która zaprowadziła ich aż pod same Jezioro. Bandyta, mokry, ubłocony, z jęczorem rozwiniętym na całą długość i najprawdziwszym psim uśmiechem na pysku, ziajał rozłożony na chłodnym kamieniu. Rozalia usiadła obok, tuż nad brzegiem największego z trzech oczek leśnego babrzyska. Napawała się przyjemnym mrowieniem w nogach. Dobrze było wyciągnąć ociężałe kończyny. Słuchała przez chwilę cichego brzęczenia lasu, koncertu wiedzionego solowym traskaniem sójki. Określenie „leśna cisza” od zawsze wydawało jej się absurdalne.

- No, Bandyta, chyba trzeba sobie będzie niedługo odpuścić. Pańcia w stanie błogosławionym, zdaje się, nie ma kondycji – powiedziała do psa, który wysunął z długiego pyska różowy jęzor i kłapał nim w pobliżu jej ręki.

Od gładkiego oka stawiku płynął przyjemny chłód. Nachyliła się nad powierzchnią, żeby ostudzić rozgrzane czoło. Jej uwagę przykuło drganie, w które wprawiły powierzchnię wody uderzenia ogona kijanki traszki. Tafla uspokoiła się po chwili, a z niej jej własna twarz wyłoniła się jak z magicznego leśnego zwierciadła. Przyglądała się chwilę sobie w niewyraźnym, szarawym odbiciu. Uśmiechnęła się na wspomnienie reakcji Adama. Jej heterochromia była spektakularnym przypadkiem. Lewe oko, zielone, ale nie jak zieloność mchu podbita ziemistym brązem, tylko przejrzysta i intensywna, jak barwa czystego szmaragdu. Prawe oko miodowo-brązowe, w słońcu zaś zupełnie złote i chyba jeszcze bardziej nienaturalne niż lewe. Wytrącały one z równowagi całą twarz. Rozalia, a także Bandyta jako posiadacz oka brązowego i niebieskiego i Pirat, z jednym okiem niebieskim i drugim zieleni.

nym, to była mała kolekcja zgromadzona przez pana Marka. Podejrzewała, że dorabiał podróżując po świecie i ratując genetycznie wadliwe egzemplarze.

Oczy to była chyba jedyna poważna cecha w jej twarzy. Dziecięca nawet jak na jej dwadzieścia jeden lat twarz. Zdumiewało ją, że dziecko w lustrze leśnego jeziora niedługo będzie miało dziecko. Ten mały pęcherzyk ze zdjęcia ultrasonograficznego, które trzymała ukryte w podręczniku „Histologia zwierząt”. Który teraz miał już pewnie małżowiny uszne, powieki i serce z dwoma komorami i przedsionkami. Może miał nawet siusiaka. Tak mikry i nierealny, że czasem zapominała jeszcze o jego istnieniu, a nagle, niespodziewane zdanie sobie sprawy skutkowało wciąż mieszaniną szoku, niedowierzania i paniki. Zawodziła tu także rutynowa technika radzenia sobie z problemami, zapytanie: co w tej sytuacji zrobiłby Marek? Jako iż wątpliwym było, by Marek znalazł się w stanie błogosławionym, planowanym czy też nie, pozostawało jej tylko jedno. Poradzić sobie z sytuacją najlepiej jak umiała w stosunku do okoliczności. A że okoliczności uwzględniały konfrontację z ciotką Melą, pewna doza strachu była zrozumiała.

I dlatego starała się z całej siły skupić, żeby przypadkiem nie zapomnieć.

Zaraz po pierwszym badaniu USG, kiedy to pęcherzyk był jeszcze pęcherzykiem nie bardziej skomplikowanym niż kijanka traszki, spotkała na przystanku autobusowym Kaškę. Kaška była o dwa roczniki starsza, ale początkowo uczęszczały do tej samej klasy. Urodzoną w grudniu Rozalię wujostwo posłało do szkoły o rok wcześniej. Kaška powtarzała rok szkoły ze względu na młodocianą ciążę.

Tego majowego dnia, kiedy los zetknął je na dworcu w Woli Bukowieckiej, Kaška udawała, że nie poznała Rozalii. Zajmowała się obciążaniem nabitego ramienia kolejnego ze swoich „narzeczonych”. Nie zajmowała się natomiast sześciolatnim Szczepankiem, który biegał dookoła i wydawał niezrozumiałe okrzyki,

starając się zwrócić jej uwagę. Wreszcie schwytał matkę za rękaw i próbował się na nią wspiąć, krzyżąc jęklonie: „mamo, mamo, mamo!”. Wyszarpnęła mu swoje ramię. Chłopiec upadł na ziemię, jego wyciągnięte rączki otarły się o betonowe płyty. Ani Kaśka, ani jej wybranek nie wyglądali na przejętych upadkiem dziecka. Jej partner zaczął nawet śmiać się, poświęcając niczym łukawy koń. Matka roku wyciągnęła telefon z torebki i od niechcenia przeglądała internetową witrynę z memami. Szczepanek zaczął płakać.

- Taki mały gnojek, a tak mnie wkurza – powiedziała, nie odrywając wzroku od wyświetlacza telefonu.

Chłopiec, wytarłszy zakrwawione rączki o spodnie, uciekł za przystanek i zwinął się w mały dygocący kłębek nieszczęścia, przyzwyczajony do obojętności swojej matki.

Rozalia wyszarpnęła ze swojego plecaka chusteczki i poszła za nim, żeby oczyścić zadrapanie. Kiedy delikatnie usuwała ziarenka piasku i proch z otarć, spod mokrych rzęs patrzył na nią zdziwiony załazek człowieczeństwa, potencjalnie dobry, porządny, nieobojętny człowiek.

- Szczepan, zwijaj się, autobus jest. – Kaśka wyłoniła się po chwili. Zobaczyła Rozalię klęczącą przy dziecku. – Zostaw mi bachora. A ty stul ryj i chodź.

Żałowała, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. I żałowała dziecka, które Kaśka zaciągnęła przemocą do autobusu, niszcząc odrobinę tego dorosłego, którym mógłby zostać jej syn, gdyby dała mu na to szansę.

Wiedziała, jak to jest na samym wstępie życia dostać źle rozdane karty. Matka, która odebrała sobie życie, ojciec włóczykij, który nie pokazał twarzy od jej śmierci, rodzina, która przyjęła ją jako niemowlę, kochała i troszczyła się na swój sposób, ale nigdy nie dała zapomnieć, że nie jest jedną z nich. Drobne różnice w traktowaniu, jak może trochę więcej obowiązków, może trochę mniej nadzoru w nauce, ubrania zawsze znoszone po wyższej

i krągłej Edytce, powodowały brak poczucia przynależności, z którym długo nie umiała się uporać.

Rozalia postanowiła nauczyć się kochać swoje dziecko od samego początku. Jak dotąd zdeterminowane wmawianie sobie pożądanego stanu rzeczy – a właściwie stanu serca – udawało się nadspodziewanie często. Tylko jej odbicie w lustrze leśnego oczka odsłaniało ukrywane drżenie serca, strach, obawę, niedojrzałość. **N i e g o t o w o ś ć.**

Tego mogła się spodziewać. Nieraz znajdowała dowody na to, że puszcza wie o Rozalii o wiele więcej, niż Rozalia wie o puszczy.

Odetchnęła głęboko. Żadnych negatywnych myśli. Teraz wszystko jest nieważne, ważny jest tylko płodziki. Płodziunio. Szczęśliwy posiadacz małżowinek i nawet paznokietków, jeśli informator, który dostała od Jakuba, był wiarygodny („Cięża!” – nie wiedzieć czemu opatrzone tytuł wykrzyknikiem). Ważny jest tylko – potencjał.

- Ruszamy tyłki, Bandziorek, bo nas tu noc zastanie. A dzieciątko głodne chyba.

Pogłaskała twarzą, ledwie zarysowaną kopułkę pod koszulą i podparła się rękami, żeby wstać. Była początkowo przekonana, że draśnięcie, które poczuła, to ostra podłamana gałązka albo kamyk. Kiedy zobaczyła równą, gładką szramę sączącą wąską smużkę krwi na wnętrzu dłoni, zrozumiała swoją omyłkę.

Cały ten czas siedziała o pół metra od zastawionych wyników.

- Co za chamy bezczelne! – sarknęła w stronę niezidentyfikowanego kłusownika.

Zadrżała na myśl o tym, że Bandyta na swoich wysokich łapach złapałby się w sidła akurat na wysokości karku.

Ostrożnie wyplątała ostry metalowy drut z krzaków. Wyniki zastawione były ewidentnie na sarny, które musiałyby tę kępkę leśnych krzewów odsunąć głowami, żeby dostać się do babrzyska.

Linka była spleciona tak, żeby co kilka centymetrów wystawały z niej kłujące końcówki związanych na drucie guzków, których zadaniem było wbić się głęboko w skórę, spowodować szybsze wykrwawienie i uniemożliwić wyplątanie.

- Chodź, pójdziemy za drogą, może Marek jest u nas jeszcze.  
- Wzięła psa za obrozę i zaczęła ostrożnie, pół kroku przed nim, przedzierać się do traktu. – No, albo ten pan Adam.

Ten pan Adam oraz Marek nie zostaliby tak wcześnie zwolnieni z obowiązków sąsiedzkich przez sprytną ciotkę Melę, która ocalałą porcją pierogów nakarmiła letników, a dla nowych gości zaczęła przygotowywać placki ziemniaczane i nalegać, by przyrodnicy dali się zaprosić na posiłek.

Kiedy Rozalia wsunęła się do kuchni z tarasu, panowie reprezentujący pracowników Rezerwatu Przyrody „Puszcza Bukowiecka” siedzieli nad pustymi, otłuszczonymi talerzami i pili kawę.

Ciocia Mela, na wskroś tradycjonalistka, uznawszy za spełniony swój obowiązek w kwestii trafiania przysłemu zięciowi (kolejnemu już zresztą w wielowątkowej historii miłosnej Edytki) przez żołądek do serca, sapała zadowolona, krojąc truskawkowe ciasto, Zabawianie gości rozmową pozostawiła swojemu małżonkowi.

- ...No i Ulman teraz dobrze stoi. Z końmi to tak jest, inaczej się jeździ na nizinach, a inaczej w górach – perorował wuj Tadeusz. – A u nas nie trzeba mieć tyle doświadczenia, a widoki prawie że górskie. Tak to się zaczęło. Teraz ma stałych uczniów. W wakacje to nawet aż z północy przyjeżdżają. Bo łatwiej, a tak samo ładnie, no i głusza... Teraz to modne, nie mieć w telefonie zasięgu.

- Ja wszystko rozumiem, że to korzyść i dla nich, i dla gminy, turyści i tak dalej, ale przecież jak pan Ulman wsiada do samochodu, to na drodze trzyma się przepisów – odparł Marek. – To dlaczego nie miałby tych przepisów trzymać się, jak wsiada na konia? Sam pan przecież mówił, że zanim zaczął tę szkółkę, należał do Ochotniczej Konnej Straży Leśnej.



Adam przesunął się na ławie, widząc, że Rozalia stoi z boku. Postanowiła nie zauważyć. Podeszła do ciotki, żeby pomóc rozdać nałożone na bambusowe deseczki ciasto.

- Ano, należał, zanim jeszcze nie zaniechali zrywki wleczkowej. Może i przez to teraz myśli, że mu w lesie wszędzie wolno.

- Dwanaście lat, jak zaczęliśmy program reintrodukcji łosia w puszczy, sześć lat jak mamy specjalne stanowiska ochrony i nie ma pozwolenia na nieograniczony wstęp do lasu. Ile ja mu do głowy natłukłem się, że w lesie drogi wyznaczone są, i że tych dróg musi się trzymać. – Marek westchnął ciężko nad swoją żmudną robotą, biorąc od Rozalki swoją porcję z porozumiewawczym mrugnięciem oka. – Nie dalej jak tydzień temu na Jeziorkach widziałem, jak konie kąpał. Zakaz wstępu poza turystyką pieszą, tablica wisi jak byk na każdym wejździe. – Poszarpał wąsy szczypcami złożonymi z palców wskazujących i zamyślił się. – Konie jak konie, tam i młodzież na wagarach kąpać się przychodzi. I pić, i nie wiadomo, co jeszcze. A to już rzut beretem od terenu rezerwatu...

- Dlatego ja myślę, że pan Ulman to jest stracona sprawa. – Adam Szechyński skorzystał z chwilowego zamyślenia się Marka, by wypowiedzieć prośbę, z którą przyszedł do nowych znajomych. – U państwa zatrzymuje się wiele osób korzystających z usług jego stadniny. Pomyślałem, że może sporządzilibyśmy taką tablicę z mapą i wyznaczonymi szlakami. Jeśli chcielibyśmy to zrobić na państwowym terenie, to pochłonie ogrom papierologii i czasu, którego nie mamy: projekt, przetarg. Zejdzie nam na tym pół roku. A my musimy zdążyć przed rują łosi. Można by przy bramie postawić, od strony drogi. I jakby pan tak mógł wspomnieć od czasu do czasu...

- No, my oczywiście, oczywiście, że pomożemy. Porządek w puszczy musi być! – wtrąciła ciocia Mela.

- Ano, ja wspomnieć mogę, ale czy co to da? – wujek Tadek podrapał się po szczeciniastej brodzie.

- Wie pan, mnie nawet nie chodzi o tych turystów. Turyści to jeszcze może gorzej nawet, bo quadami drogi rozjeżdżone, dzikie biwaki i sterty śmieci nad każdym leśnym bajorem. A potem i tak zawsze winą obarcza się zarząd rezerwatu. Ale za kilka tygodni zacznie się bukowisko. Szkoda, żeby tyle lat pracy się zmarnowało, jak oni nam te łosie wystraszą. A ten byczek co żeśmy go sprowadzili z Rajgrodu? Płochliwy jakiś. – Marek rękawem strącił okruszki ciasta z wąsów.

- A propos, właśnie wróciłam znad Jeziorek – Rozalia usiadła przy Marku, i trąciwszy go w ramię cicho zdawała relację. – Wnyki ktoś zastawił. I to jak bezczelnie! Nad samym brzegiem, przy wodopoju. Może byś poszedł przetrząść te krzaki jeszcze dziś, bo sarny tam lubią podejść nad ranem.

Ciocia Mela, choć skupiona na dogadzaniu swojemu gościowi, słuch miała jak zwykle akuratny, wychwyciła istotne dla siebie informacje.

- To tyś aż nad Jeziorka chodziła, Rozalka? Bez obiadu? Przecież dziecku zaszkodzisz!

## Rozdział 2

Pierwszy sen zobaczyła, zanim jeszcze zorientowała się, że jest w ciąży.

W drodze powrotnej z koncertu w klubie studenckim „Balangarnia” do akademika Igor zahaczył o kilka pubów. Był zmęczony, nietrzeźwy i wypalony. Zaczął rozbierać się jeszcze na korytarzu. W progu zrzucił buty bez odwiązywania sznurówek, nadeptując kolejno na pięty. Na podłodze wylądowały części garderoby, kostki gitarowe, rachunki za kolejne zamówione piwa, zawieszki i bransoletki, którymi kreował swój image. Zasnął, nie ściągając tylko skarpet.

Położyła się obok, niezdziwiona. Artystom należało wybaczać ekscentryzm.

Długo nie mogła zamknąć oczu. Kilka razy czuła, że stoi nad przepaścią snu po to tylko, by cofnąć się znów o kilka kroków w pełną niespokojnych myśli świadomość. Noc sam na sam z wątpliwościami, niepewnością i tęsknotą za czymś nieokreślonym dłużyła się jak nudne rodzinne spotkanie z krewnymi, których się nie lubi, ale z przyzwyczajenia składa się im regularne wizyty.

Kiedy ciemność za oknem zaczęła rzednąć, wydało jej się, że wreszcie zasnęła i śni jeden z tych świadomych snów, co do których ma się pewność, że to tylko nierealny wytwór naszej podświadomości. Trzeba go biernie obejrzeć, bez wpływu na to, co się stanie.

Była Igorem. Na pustej scenie, oświetlonej reflektorami emitującym mgliste, purpurowe światło, stała naga przed publicznością. Ze szmeru ludzkich głosów nie dało się rozróżnić słów, chociaż budowały sobą jakiś powtarzalny rytm, skand, zakłęcie. Nad głowami falującego tłumu rozbłysły najpierw pojedyncze ognie zapalniczek, później światła telefonów komórkowych.

Rozległ się śmiech. Wybuchły kilkakrotnie oślepiające stroboskopowe błyski. Próbowwała zagłuszyć narastające buczenie i skandowanie śpiewem, ale z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk.

Nagle zmieniło się światło lamp, jakby niewidzialny technik podkręcił wszystkie parametry. Gęsta przestrzeń rozjarzyła się czerwonym, ostrym blaskiem. Zobaczyła, że scena to tak naprawdę wewnątrz gotyckiej katedry, tak wysokiej, że sklepienie ginęło poza zasięgiem wzroku. W szkarłatnym świetle pochylone nad jej głową, ginące w nieskończoności mury wyglądały jak zalane krwią. Zaczęła krzyczeć, głośno, coraz głośniej, pragnąc, żeby jej głos odbił się niewidocznych żeber sklepienia. Jej przepona zapadła się boleśnie, dźwięki, którymi podrygiwały struny głosowe, przypominały kwilenie.

Zaczęła wspinać się po filarach, podżegana zachęcającymi okrzykami tłumu. Chciała dotrzeć do szczytu katedry. Z murów wyrastały żelazne kolce, które kłuły jej palce. Jej dłonie zaczęły krwawić od ran.

Spadła na ziemię, pośliznąwszy się na własnej krwi. Zobaczyła, że tłum znika, rozptywa się. Stanął nad nią Olek, kolega z zespołu. *Jedziesz?* – zapytał. *Jadę* – odpowiedziała za Igora. *Muszę pojechać.*

Zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie śni, kiedy lokatorka z sąsiedniego segmentu akademika zaczęła wydawać niejednoznaczne odgłosy – dźwięk, który Rozalia знаła aż nadto dobrze.

Tej nocy nie zasnęła ani na chwilę, obserwowała tylko sen śpiącego obok Igora.

Rano, kiedy zaspany i z narastającymi objawami zatrucia alkoholowego wmuszał w siebie porcję jajecznicy, zapytała, na kiedy planuje wyjazd do Barcelony.

- Na czerwiec – odpowiedział, po czym jego zmęczony, skacowany umysł obudził się z letargu. – A ty skąd wiesz?

Od tamtej pory regularnie odwiedzała sny otaczających ją osób, każdej nocy wędrując w coraz to nowe, niezwykle ekspozycje

cudzej wyobraźni. Sny kolegów i koleżanek z akademika. Kierownika, ucinającego sobie drzemkę w gabinecie, każdego popołudnia około pierwszej. Wujka, cioci, Edytki. Gości gospodarstwa „Nad Ruczajem”.

Wydawało jej się to zupełnie normalne. Dużo bardziej normalne, niż ten niewiarygodny fakt, że w jej brzuchu rozwija się człowiek.

Igor śnił o Barcelonie każdej nocy.

Kiedy powiedziała mu o ciąży, śnił tylko o klatce, w której utkwiał i bezskutecznie próbował się wydostać.



- Ziemia do Rozaliny! Halo! – Edyta wsunęła się do jej sypialni obleczona w satynową piżamę i wskoczyła na łóżko. Odebrała Rozalię tym samym od lektury notatek z wykładu parazytologii. – Mama ci tyłek strzepie – dodała na widok Bandyty, którego Rozalia przemyciła do swojego pokoju. Oficjalnie pies miał zakaz wstępu do sypialni.

- Mój tyłek ma się nieźle po wyznaniu o ciąży, więc myślę, że pies w domu jakoś przejdzie – odparła, starannie zakładając stronę w zeszytcie.

- Coś już widać? Ty jesteś tak maciupka, że jak ci ten brzuch urośnie, będziesz wyglądać po prostu komicznie. Już się wydajesz taka... bardziej do przodu. Pod koszulą to nie widziałem, ale teraz tak. Pokaż.

Przycisnęła rękę do wzdęcia na brzuchu Rozalii.

- Lepiej powiedz, jak ten twój Apollo. – Rozalia pacnęła Edytę w rękę, zmieniając temat. Ukrywanie swojego stanu nie wchodziło w rachubę, wkrótce wygląd zdradziłby tajemnicę. W nieracjonalny sposób była jednak zazdrosna o wszystkich zainteresowanych rosnącym w niej życiem. Chociaż wciąż trudno było jej pogodzić z tym, jak nieplanowana ciąża wpłynie na jej

przyszłość, to jednocześnie po raz pierwszy poczuła, że ma coś swojego, gdzieś przynależy, że może określić się jako część większej całości.

Edyta westchnęła z rozmarzonym uśmiechem.

- Apollo gra niedostępnego.

- To bardzo uprzejmie z jego strony. Będziesz go mogła tym intensywniej zdobywać – skwitowała Rozalia, zgodnie ze stanem swojej wiedzy o stosowanej przez Edytę taktyce podbojów.

- No bo wtedy tryumf smakuje najlepiej. – Edyta wzruszyła ramionami, nic sobie nie robiąc z ironizowania kuzynki. – Coś mi mówi, że ten akurat tryumf będzie wyjątkowo satysfakcjonujący. Niczego sobie jest, powiedz. Tylko ta blizna go szpeci. Gdyby nie blizna, byłby piękniusi.

- Co ty, blizna jest najfajniejsza. Plus dziesięć do fizjonomii – Rozalia sięgnęła po swój podręcznik, nagle odczuwając dyskomfort.

- Ciebie to zawsze pociągają wady, przegrane sytuacje i ptaszki ze złamanymi skrzydełkami. Taki Igor, egoista na przykład. Marek, samotnik. Bandyta ze swoją nieprzepisową mordą. Studia bez przyszłości.

- Bardzo ci dziękuję, pani prawnik, za tę wnikliwą analizę mojej osobowości.

- Jeszcze nie prawnik, ale za kilka lat... I wtedy, w mojej kancelarii w Rzeszowie, Krakowie albo nawet Warszawie, z Adamem u boku, będę sobie żyć, tak... czysto. Nie uwalając obcasów u butów błotem. Podczas kiedy ty będziesz się przedzierać przez chaszczę, kolczykując łosie.

- Rozumiem, że szczerzyły porzucenia przez pana Adama nowoobjętego stanowiska na rzecz bycia twoim *arm candy*<sup>2</sup> ustaliliście dzisiejszego popołudnia?

- Małpa! – Edyta rzuciła w Rozalię najbliższą znajdującą się poduszką i roześmiała się, niezrażona jej drwinami. – Myślę, że

---

<sup>2</sup>*arm candy* (ang.) – dosłownie „cukierek na ramieniu”, przystojniak, ślicznotka, oznaczenie partnera podnoszącego prestiż poprzez dobrą prezentację.

w życiu jak na sali sądowej, wszystko zależy od skutecznych argumentów.

Zademonstrowała rzeczony środek perswazji pokrótce.

- Faktów, nie argumentów – poprawiła Rozalia. – Oszczędź mi szczegółów swojej strategii. Ciśnienie muszę zmierzyć.

Wyjęła z szuflady ciśnieniomierz i przystąpiła do rzeczy. Tymczasem Edyta poszukała czegoś do zajęcia wiecznie rozbieganych rąk. Znalazła porzuconą przez Rozalię na nocnym stoliku publikację i zaczęła czytać na głos w miejscu zaznaczonym przez Rozalię suchym źdźbłem trawy.

- „Najpóźniej brzuch zaokrąglą się u kobiet, które mają silne mięśnie brzucha”. O, znaczy się, kochana, twoje ABS-y były do niczego. Trata-tata... O, tu: Piersi w dalszym ciągu widocznie się powiększają i wciąż są wrażliwe na dotyk...” – zmierzyła Rozalię wzrokiem – Prawda. Dalej: „Możliwe występowanie krwawienia i chorób dziąseł... Niewielkie duszności...” Biedaczyno! A mówią, że ciąża to nie choroba. Masz duszności?

- Do tej pory nie miałam, ale jak mi tak czytasz to coś czuję, że tchu złapać nie mogę.

Rozalia zapisała wynik pomiaru ciśnienia w notesie, podarowanym jej przez doktora Jakuba.

- Marek nie wygląda najlepiej – powiedziała nagle, jakby bez kontroli. Dusła w sobie zmartwienie spowodowane spadkiem formy opiekuna tak długo, aż wreszcie znalazło ono ujście.

- Może zestresował się przejściem na emeryturę? – podpowiedziała Edyta.

- To nie jest przecież taka regularna emerytura. Zostanie w swoim mieszkaniu w ośrodku, będzie udzielał się w Leśnym Pogotowiu. Zresztą, to do niego niepodobne, stresować się. Marek jest jak skała. A teraz zrobił się taki błady. Schudł.

- Zawsze był szczupły. Ty się lepiej skup na sobie i na moim siostrzeńcu.

No tak. Taki był plan. Skupić się na tym, żeby poukładać własne życie wokół tego nowego życia.

- Tylko jeśli ty skupisz się na swoich egzaminach prawniczych, zamiast na pożeraniu serc nieszczęśników, których ścieżki okrutny los skrzyżował z twoją.

- Nieszczęśników! – zachnęła się Edyta. – Masz na myśli uprzywilejowanych wybrańców. Nie widzę zresztą powodu, dla którego te dwie kwestie miałyby się wykluczać. Jest dwudziesty pierwszy wiek. Nie muszę chyba wybierać pomiędzy karierą a miłością.

W życiu Rozalii nie zanośliło się na osiągnięcie ani jednego, ani drugiego, ale zachowała tę uwagę dla siebie. Wpędzanie Edyty w poczucie winy wcale nie poprawiłoby ani jej sytuacji, ani samopoczucia.

- Zresztą, mówisz tak, jakbym działała zgodnie z jakimś diabolicznym planem – odezwała się po chwili myślenia. – A ja zawsze uważam, że te rzeczy są nieuniknione. Po prostu dzieją się same, to kwestia poddania się... Kwestia działania...

- Natury? – odpowiedział Rozalia bez drwiny. Sama była zdania, że Natura – ta wielka, życiowa siła, żywotny pęd czy determinacja do przetrwania, która wrzuciła pojedyncze prakomórki w wielką spiralę ewolucji – była wciąż cichym doradcą, a nawet motorem poczynań swoich pozornie inteligentnych, świadomych stworzeń. Jej ingerencja była nieunikniona jak samo życie.

- Tak – przyznała Edyta. – Widzisz, w rzeczywistości nie jest moją winą. Motywacja silniejsza od wolnej woli. *Amor caecus est*<sup>3</sup>. Po prostu chcę mieć mężczyznę, bez którego nie będę mogła żyć...

- Poszukaj raczej takiego, z którym będziesz mogła żyć – poradziła Rozalia.

- Porady życiowe, od ciebie? Naprawdę?

Słowa Edyty były z pewnością zamierzone jako żartobliwy docinek, niespodziewanie jednak żywo dotknęły Rozalię. Przecież

---

<sup>3</sup>*Amor caecus est* (łac.) – miłość jest ślepa. Słowa greckiego poety, Teokryta.



nie była lekkomyślna ani głupia. Przez niewyobrażalnie krótką chwilę swojego życia była tylko naiwna w osądzie. Nagle zdała sobie sprawę, że konsekwencji jednego błędu będzie o wiele więcej. Nieślubne dziecko było kamieniem, który z pluskiem wpada do jeziora, a cała reszta to fale, które zaburzają gładką taflę. Utrata wiarygodności, niepewność studiów, pracy, środków do życia, zawieszenie możliwości rozwoju, odłożenie marzeń, kwestionowanie reputacji Hawartów jako jej opiekunów, brak zaufania nie tylko ze strony najbliższych, ale także brak zaufania Rozalii do siebie samej.

Edyta wyczytała w jej twarzy tę nagłą zmianę emocji. Była doskonałym obserwatorem, jeśli tylko potrafiła skupić swoją uwagę na drugim człowieku zamiast na sobie samej.

Chwyliła dłoń Rozalii tak naturalnym u niej, prostym, poręczym gestem.

- Przepraszam. Palnęłam. *Пах*<sup>4</sup>?

- *Пах, пах* – potaknęła Rozalia.

Łacina była dla przyszłej pani prawnik językiem bardziej autentycznym od polszczyzny.

Edyta zasnęła tego dnia na jej łóżku, więc jej sny widziała Rozalia wyjątkowo wyraźnie. W głównej mierze składały się z postaci Adama w różnych sytuacjach, niekiedy zbyt bogatych w detale i nie do końca przyjemnych dla postronnego widza.

Rozalia odetchnęła głęboko, zmuszając się do opuszczenia tego prywatnego terytorium. Zabijała bezsenne czas szukaniem obrazów z marzeń mieszkańców i gości „Nad Ruczajem”, kołających do jej głowy. Tomek przeważnie śnił o dziewczynach. Byłych, obecnych, tych widzianych w telewizji i czasopismach, które kolekcjonował. Często w snach prowadził samochód, zawsze za szybko, na granicy brawury. Sny te dawały mu zastrzyk adrenaliny. Kilka razy odwiedziła sny, w których wspinał się na szczyt Białej Góry, szumnie nazwanego wzniesienia na południowej granicy

---

<sup>4</sup> *Пах* (łac.) – pokój.

Puszczy Bukowieckiej. Na szczycie z jego snów znajdował się nie krąg niewielkich skalnych ostańców, jak to miało miejsce w rzeczywistości, ale krater z bulgoczącą lawą, która groziła przelaniem się przez brzegi wrzącą falą. Dziś w nocy był tam właśnie. Próbując zapobiec erupcji, zalewał krater wodą. Zanim zdołał chlusnąć zawartością wiadra w ognistą czeluść, pojawiał się Romek, który wypijał całą jego zawartość. Romek w każdym śnie Tomka grał jakąś drugoplanową rolę.

Tomek nigdy nie śnił o pracy.

Romek niemal zawsze śnił o pracy. Odmierzał, pobierał próbki, zmieniał proporcje, badał jakość, realizował zamówienia. W jego snach panowała atmosfera napięcia i nerwowości. Brat bliźniak nigdy nie pojawiał się w snach Romka.

Ciocia Mela nie spała jeszcze, wujek Tadek zaczynał właśnie śnić. Rozalia oglądała jego rodzinny dom w małym przysiółku na skraju Ruczaju, przy którym stał jego ojciec. Był tylko sylwetką odciętą od czerwonej łuny ognia. Dobrotliwe oblicze Leona Hawarta o nieśmiałym wejrzeniu szarych oczu znała tylko ze zdjęć, które zachowały się z pożaru. W snach wujka Tadka ojciec zawsze był tylko cieniem, niewyraźnym, ledwie obecnym. Śnił o tym, że konie jego ojca ugrzęzły w wielkiej kadzi ze smołą. Stary Hawart próbował je oswobodzić, zanim ogień, który trawił dom, dotrze do stajni. Ani w prawdziwym życiu, ani we śnie nie udało mu się uratować zwierząt od okrutnej śmierci w płomieniach.

Zawędrowała wreszcie do gościnnego skrzydła gospodarstwa. Szukała ukojenia w niewinnych, beztroskich snach dzieci letników. Próbowwała się skupić na nocnych marzeniach o grze w piłkę i kąpieli w rzece, ale nachalny i głośny – tak głośny, jak jej miarowe chrapanie – sen Edytki o Adamie rozpraszał jej uwagę. Wybiegła więc poza dom, na wzgórek położony nad sadem, gdzie w starym drewnianym domu mieszkał dziadek Dziunek.

Kiedy tylko dotknęła jego snu, wszystkie inne rozpiechły się w ciemność.

Rozpoznała matkę po oczach, jednocześnie podobnych i niepodobnych do jej własnych. Oczy matki miały ten sam kształt pękatych migdałów, były ogromne i obramowane tą samą ciemną oprawą. Ich źrenice miały jednak zimną barwę. Z lewą tęczęwką przejrzyście niebieską, drugą zaś brązową, oczy te patrzyły surowo i wiedząco.

Liliana Hawart patrzyła tak, jakby potrafiła odczytać wszystkie myśli i pragnienia.

Dzieliły ze sobą tylko różnobarwność oczu, już sam ich kolor u Rozalii faworyzował nigdy niepoznanego ojca. Twarz matki, na swój sposób piękna, zbudowana ze światła i cienia, mądrości i cierpienia, miała ostre i zdecydowane rysy, szlachetny podbródek, wyraźne kości policzkowe, niskie czoło i wąski nos. Arystokratycznie bładą, porcelanową, cerę, tak niepodobną do podmalowanej złotem, słonecznej skóry Rozalii.

Tę twarz znała Rozalia zastygłą na rodzinnych zdjęciach. W kolorze sepii lub monochromie, fotografie nie pokazywały prawdziwej barwy jej oczu ani tego, jak mrużą się one z bólu, jak wybiegają od nich drobne promienie mimicznych zmarszczek, jak zakrywają je ciężkie, zmęczone powieki. Jak matka porusza ustami, przechyla głowę, zaciska pięści.

Nigdy nie widziała swojej matki żywej. Ożywiły ją dla niej sny dziadka Dziunka.

- Tato... Tato... – powtarzała Liliana, wyciągając błagalnie ręce. – Proszę, tato... Pomóż mi, tato...

Dziadek Dziunek, a raczej mężczyzna w sile wieku, którym był ponad dwadzieścia lat temu, próbował schwycić wyciągnięte ku sobie dłonie, ale jego palce oplotły długie, czarne, wijące się włosy córki.

- Lilciu... Liluś – ni to wołał do niej w tym śnie, ni to łkał.

Nagle zobaczyła dojrzały brzuch matki. Znaleźli się pod kamienicą w Lesku, gdzie mieszkali przez krótkich kilka miesięcy po śmierci Oksany, a przed pożarem Hawartówki i osieroceniem

Tadeusza. Stała na skraju chodnika, wyglądając czyjegoś przyjścia. Obejmowała i gładziła nienaturalnie wyolbrzymiony przez pamięć dziadka brzuch.

- Przyjdzie, tatusiu, na pewno przyjdzie – powiedziała.

Z zakładu zegarmistrzowskiego na parterze kamienicy wyłonił się pan Hawryluk z garściami pełnymi banknotów sprzed denominacji.

- Czynsz chciałem zapłacić! – zawołał. – Panie Władziu, czynsz chciałem zapłacić!

Matka popatrzyła na niego ze złością. Wbiegła na stopnie wiodące do „Kukułki” lekko, jakby w ogóle nie nosiła ciężowego brzucha ani w ogóle żadnej wagi, jakby była tylko nitką, pajęczyną, smugą dymu niesioną przez wiatr. Odepchnęła pana Hawryluka od drzwi i znikła we wnętrzu.

Chaotyczne, niesynchronizowane tykanie setek zegarów zabębniło w jej uszach jak kanonada. Dziadek próbował powstrzymać Lilianę, kiedy w złości zaczęła strącać z półek wszystkie zegary, a potem deptać je z impetem obcasami, aż zgrzytały miażdżone mechanizmy i brzęczały sprężyny.

- Liluś... – szepce tylko dziadek, szamocząc się z nią bez skutku – Lilciu...

Sen nagle urwał się i odpłynął, oddaliła się także postać matki. Rozalia próbowała zatrzymać jej obraz ze wszystkich sił, ale to nie był jej sen.

Niewiele myśląc, zerwała się z łóżka, wsunęła bose stopy w oficerki, na plecy zarzuciła koc i pobiegła do domu dziadka. Prawie przewróciła się w progu, przystając na niezawiazanych sznurówkach. Pomyślała o matce, głaszczącej tkliwie wielki brzuch. Zwolniła kroku.

Znalazła dziadka w swojej izbie. Siedział na brzegu łóżka i patrzył w drzwi tak, jakby wiedział, że przyjdzie.

- Co, Rozalcia, e? Nieszczęśliwaś, dziecko, i ty...

Podeszła do niego i usiadła na wyplecionym palcami babci Oksany chodniczku. Położyła głowę na szczupłych kolanach dziadka, a on pomarszczoną, chłodną ręką odganiał z jej twarzy włosy.

- Twoja mama, też. I twoja babka, Oksana, też. I twoja córka – powiedział cicho.

Nie odpowiedziała. Może nie. Oby nie.

Siedzieli oboje przez długie, długie chwile, słuchając miarowego tykania zegara.



Poranek wstał siwy od mgły, wędrującej nad rzeką i sadem jak żywy organizm, zwiastun kolejnego gorącego dnia.

Rozalia wydoiła Kraszkę i nakarmiła drób, zanim inni domownicy na dobre rozbudzili się. Poranny obrządek przestał być uciążliwym obowiązkiem. Początkowo dzieliła go z Edytą, która wraz z rozpoczęciem studiów zbuntowała się przeciwko domowemu reżimowi. Studia prawnicze nie były do pogodzenia z karierą dojarki. Niewypowiedzianym powodem był fakt, że Edyta lubiła sobie rano pospać. Rozalia nie buntowała się, nawet przytyki Edyty co do zgodności tej czynności z jej kierunkiem wykształcenia nie robiły na niej wrażenia. Proste prace przynosiły ukojenie po burzliwej nocy.

Wzięła chłodny prysznic i zasiadła samotnie do śniadania w kuchni, z utęsknieniem wdychając z oddalenia do kawowego dzbanka. Jakub co prawda aprobował wypijanie jednej filiżanki słabej kawy dziennie, Rozalia wołała jednak nie ryzykować.

Ciocia Mela zeszła na dół i poziewując zabrała się do przygotowania śniadania dla letników. Zaledwie Rozalia otarła usta po jedzeniu, została przez ciotkę zaprzęgnięta do przygotowywania obiadu. Zorganizowana gospodyni nie zostawiała niczego na ostatnią chwilę.

- No i co z tym ojcem? Rozalka, hę? – ciocia Mela spojrzała spod zaondulowanej grzywki na Rozalię, trącą marchew na zupę. – Jeszcze ze trzy, bo na dzisiaj ma się sześcioro gości zjechać – dodała.

- Gość w dom, łyżka wody do zupy. – Rozalia wybrała z koszyka trzy duże marchewki. – Wyjechał. Za granicę.

- No, ale wie?

- Wie, ciociu.

- I co?

- I wyjechał za granicę.

Ciotka westchnęła z głębokości serca.

- I pietruszki jeszcze ze dwie – powiedziała po chwili. –

U Jakuba byłaś?

- No?

- I wszystko dobrze?

- Mhm.

Kolejne westchnienie, jeszcze cięższe niż poprzednio.

- A te cebulę to przyfajczę na kuchni, będzie w rosole ładniejszy kolorek. – Rozalia wytarła ręce w zapaskę i otworzyła okno do obierania cebuli.

Z nagrzanego ogrodu buchnął ciężki zapach przekwitającego jaśminowca i bardziej subtelna woń kwitnącej lipy. Rozalia zachłyśnięta się swoją ulubioną mieszaniną czerwca z ciepłem.

- I jak ty to sobie wyobrażasz? No?

Nie wyobrażała sobie, szczerze mówiąc. Próbowwała sobie zwizualizować tego małego ulepka, który z godziny na godzinę rósł o kolejne komórki, kolejne mikre cząstki ciała, który wykształcał właśnie twarz i może nawet już potrafił zrobić grymas. Ani tego, jak przyjdzie jej wypchnąć z siebie trzykilogramową kulkę. Ani gdzie będą mieszkać, bo przy trojgu dorosłych dzieci wciąż mieszkających z rodzicami i całym gospodarstwie agroturystycznym, wujostwo nie miało dla nich dwojga miejsca. Ani jak będzie przewijać, karmić piersią, posyłać do szkoły, karcieć. Ani jak skończy studia, i jak

będzie na swoje dziecko pracować. Wiedziała tylko, że musi żyć, i że czas nie zatrzyma się dla niej.

W przeciwieństwie do swojej matki, nie planowała się poddawać.

- Mam jeszcze czas. Przemyślę wszystko.

- Ty może myślisz, że to jest tak hop-siup, urodzić i tyle. Ty nie masz pojęcia, jako to jest męka. Ile trudu.

Nie odpowiedziała, tylko spokojnie wrzuciła w bulgocący rosół podwęgloną cebulę i zabrała się do zbierania szumowin.

Pomyślała o swojej matce, nie tej, którą znała ze skąpych napomknień, ale tej, którą zobaczyła we śnie dziadka. Po raz pierwszy w życiu przyszło jej do głowy, że kwestia samobójczej śmierci Liliany nie była tak jednoznaczna, jak sądziła. Nie znała niuansów tej historii, bo panowała wokół niej zacięta zмова milczenia.

Jeżeli nauczyła się czegokolwiek ze swych relacji z Igorem, Markiem czy nawet Edytą to to, że ludzkie uczucia, decyzje, charakter były skomplikowane i chaotyczne, a relacje pełne niejasności, niedopowiedzeń i nieudolnej komunikacji.

Wiedziała tylko tyle, że Liliana odebrała sobie życie w niecałe dwa tygodnie po urodzeniu córki. Mówiono, że się otruła. Przez całe dzieciństwo, a nawet gdy zaczęła doroślejsz patrzyć na sprawy, miała do niej zbyt wiele żalu, by zastanawiać się, jak do tego doszło. Nie była ciekawa tego, kim była Liliana, za to ludzie, z którymi tkwiła w hermetycznym świątku ich wioski i okolicy portretowali ją grubą, schematyczną kreską. Dziwaczka. Wiecznie z głową w chmurach. Inna jakaś. Malowany ptak. Trochę pomyłona. Wiedźma.

Dopiero teraz zaczęła rozumieć, że sam fakt samobójstwa matki przestał jej wystarczać jako wyjaśnienie. Za jej decyzją coś przecież musiało stać i kiedy Rozalia wypytywała z głębin żalu na powierzchnię, zaczynała się zastanawiać nad jej motywacją.

*Twoja mama, też. I twoja babka, Oksana, też.*

Może rzeczywiście matka popadła w szaleństwo? Chorobę psychiczną? Może sny, które widzi Rozalia, to tylko objaw jakiegoś zaburzenia, a jeśli tak, co może zrobić, żeby zapobiec powtórce tragicznej historii matki?

- Tyś taka mądra dziewczyna była, Rozalia. Zawsze Edytce mówiłam, na co ty tak szalejesz, zobacz na Rozalkę, jaka jest spokojna. Co się stało?

- Ciociu, masz może jakieś prywatne zdjęcia mamy? Oprócz tych, które są w albumie mojego dziadka. – Rozalia odwróciła się nagle do niej, jakby w ogóle nie słyszała jej moralnych nauk.

Mina ciotki Melanii odzwierciedlała głęboki szok. Liliana nie była nigdy tematem rozmów w domu. Zanim jednak zdążyła zebrać się na odpowiedź, Edytka wparowała do kuchni ze swoją zwykłą energią.

- Ależ się wypięknę! Zamówiłam fryzjerkę na jutro w Sanoku. Mogę wziąć samochód? A gości jeszcze nie ma? – dodała, nie czekając na odpowiedź na pierwsze pytanie.

- Dzwonili, że zajadą na południe. Zatrzymali się po drodze w Iwoniczu – oznajmiła ciotka. – A kto za tego fryzjera zapłaci, co?

Ciotka Melania stanęła nad córką i pogłaskała jej włosy czule, dając do zrozumienia, że jej nagana nie nosi znamion powagi.

Dawniej te drobne gesty ciotki wobec swojej córki powodowały u Rozalii uczucie zazdrości. Hawartowa kochała na swój sposób Rozalię, ale nie tak otwarcie, nie tak bezgranicznie, jak własne dzieci. Z biegiem czasu Rozalia odkryła, że rezerwa ciotki ma swoje źródło jeszcze w jej relacjach z Lilianą. Ich charaktery, tak odmienne, musiały często się ścierać, a i skąpe opowieści dziadka sugerowały konflikt. Sytuację zaogniał fakt, że Melania, wychowana w gospodarstwie wiejskim, przyzwyczajona do ciężkiej pracy na nim, ograniczona do kręgu znajomych z najbliższej okolicy, zazdrościła kuzynce swojego męża jej pozornie lekkiego, rozrywkowego, artystycznego życia. Kiedy Liliana samolubnie odebrała sobie życie, obarczyła Melanię opieką nad obcym dzieckiem. W gruncie rzeczy



jakiegokolwiek przywiązanie Melanii do niespokrewnionego z nią dziecka było przejawem heroizmu.

- Oj, mama. Tomek z Romkiem dostali od was po samochodzie, jak poszli do pracy.

- Tomkowe i Romkowe studia tyle nie kosztowały, co twoje – sarknęła ciocia Mela dobrodusznie, wracając do swojego zajęcia przy mieleniu mięsa na gołąbki.

- Różka, a ty do Marka dzisiaj nie idziesz? – Edytka, jak zwykle ignorując niewygodne komentarze, zwróciła się do Rozalii.

- Idę. – Rozalia z niewielkim sukcesem powstrzymywała się od śmiechu.

Edyta nigdy nie traciła czasu. Pomimo głoszenia frazesów o determinizmie i nieuchronności zdarzeń, jako prawdziwa kobieta sukcesu brała sprawy w swoje ręce i dopomagała losowi częstymi interwencjami w bieg wydarzeń.

- To może bym się z tobą przeszła, co? Albo cię samochodem podwiozę?

- Szkoda twojej fatygi. Pan Adam będzie na obchodzie o tej porze.

- Kto wie, może nam się wizyta przeciągnie – zasugerowała Edyta, niezrażona.

- No, mi na pewno, bo na rabatce w leśniczówce takie chabazie... To może mi pielic pomożesz?

- O nie, to twoja, że tak powiem, profesja. Zresztą dobrze wiesz, że pół krzewu wyniszczę, zanim znajdę chwast.

Rozalia była świadoma, że w gruncie rzeczy chodzi o paznokcie. Bardzo ładne paznokcie, dopiero co zrobione techniką akrylową. Zmarszczyła nos, patrząc na swoje, krótko obcięte i nie do końca czyste.

- A ty aby przy tym pieleniu nie zmęczysz się za bardzo? – ciocia Mela z właściwą sobie troską pod płaszczem nagany uszczypnęła Rozalię pod boki.

- Na zdrowie nam wyjdzie – odpowiedziała Rozalia tak miękko, że ciotka, zwyciężona, zaniechała tematu.

- To co, pójdę z tobą? – Edyta nie dawała za wygraną.

- Dobra, tylko zupę skończę. Chyba, że w międzyczasie padniesz tu od śmiertelnego ugodzenia strzałą amora.

Wycieczka do siedziby zarządu Puszczy Bukowieckiej okazała się niepotrzebna. Zaledwie Rozalia skończyła doprawiać rosół, na zmianę z ciotką próbując łyżkami aż do kompletnego przejedzenia, od kuchennych drzwi dobiegło pukanie.

Edyta, wyszpiewawszy przez szybę, że oto sam obiekt jej westchnień zjawił się z własnej woli, przeczesała palcami puszyste włosy i pobiegła otworzyć.

- Dzień dobry. – Adam Szechyński stanął w progu, pochylając głowę pod niską framugą.

- A, dzień dobry, a my właśnie o panu mówiłyśmy! – z rozbrajającą szczerością wyznała ciotka Melania. Edyta posłała jej błagalne spojrzenie. – Już właśnie Edytka z Różką miały iść do „Ulany”, rosół zanieść panu Markowi. No, Różka, podaj baniak.

- Gości państwu nakierowałem. Zgubili się pod Cembrzastem. Tylko kazałem iść przez główne wejście.

- A mieli dopiero na południe zjechać! Ale pewnie, goście, wiadomo, od frontu. A pan doktor to przecież już jakby znajomy. Różka, leć-ta ich zakwatrować w pokoje.

Rozalia ściągnęła utyflaną zapaskę i rzuciła na poręcz krzesła. Przywitała gości, dwie starsze pary i jedną młodszą. Wyjazd do na lotnisko był pomysłem na oficjalne zaręczyny i zapoznanie się rodziców młodych, toteż umieszczenie gości wymagało dyplomacji. Rodzice panny młodej dyskretnie poprosili, żeby umieścić narzeczonych w osobnych sypialniach, („bo to nie wypada”), pan młody natomiast, korzystając z ich nieuwagi, podjął nieudaną próbę wręczenia Rozalii łąpówki w postaci dwudziestu złotych polskich, w zamian za rozwiązanie sytuacji na swoją korzyść. Na całe szczęście, bliźniacze sypialnie połączone balkonem były dostępne

i w kilka minut sytuacja została rozwiązana z zachowaniem obyczajności, ale i usunięciem przeszkód na drodze młodego uczucia.

Kiedy wróciła do kuchni, Adam siedział na tym właśnie krześle, na który zarzuciła swój fartuch. Zrezygnowała z próby odzyskania ochronnej kapoty. Znalazła bańkę na rosół, o którym ciocia Melania zapomniiała w ekscytacji. Adam siedział nad pustą już szklanką po kawie. Zadowolony Pirat rozpierał się na jego kolanach i drapał po służbowej kamizelce, z lubością poddając się umiejętnym pieszczotom.

- W gorąco to się rosółu tak nie chce – tłumaczyła ciocia Mela. – Ale jak zrobiłam krem z brokułów wczoraj, to mi goście narzekali. Że oni na wieś przyjechali po to, żeby wiejskiego jedzenia zjeść, a nie to co w restauracji. No, to co zrobię? A kogut już był stary i nie siadał na kury.

- Mamo! – syknęła Edyta, czerwieniąc się jak krasna wiśnia.

- A ty myślisz, że pan weterynarz z prawami natury nie zna się? – ciocia Mela zaśmiała się zalotnie.

Rozalia przyrzekłaby, że i on niezręcznie uciekał oczami.

- Pewnie byłeś na obchodzie? – Edyta zdecydowała się zmienić temat. – I w taki upał! Ja zawsze podziwiam naszych przyrodników, że mają taką kondycję.

Tutaj pan Adam, widząc elegancką furtkę do wyswobodzenia się pomiędzy ataków córki i matki, wyłuszczył z czym przyszedł.

- Tak, ja właśnie chciałem poprosić... Pan Marek wczoraj nie poszedł do tych wnyków, a dzisiaj pojechał w delegację na Pomorze, do „Ostoi”. Zostawił mnie samego na posterunku w drugim dniu pracy. Ja nie znam jeszcze okolicy tak dobrze. Czy Rozalia nie znalazłaby czasu, żeby mi pokazać, gdzie są te wnyki? – zwrócił się do ciotki Melanii, nie patrząc nawet na Rozalię. – To nie zajmie dłużej niż pół godziny, bo przyjechałem samochodem.

- No, pewnie, że pokażą panu dziewczyny. – Ciotka Mela aż uniosła się o kilka centymetrów nad ziemię z zadowolenia. – Tylko

Edytka, uważaj na nią, żeby gdzie w lesie nie upadła, bo mogłoby dziecku zaszkodzić. I w paprocie niech nie idzie, żeby kleszcza nie przyniosła. Widzi pan, nasza Rozalia jest w ciąży.



Drogę na Jeziorka przebyła na tylnym siedzeniu służbowego Hiluxa zarządcy rezerwatu. Wyglądała uparcie przez okno, bowiem widok Edytki prężącej swoje ledwo okryte nogi na przednim siedzeniu powodował u niej nieopanowaną chęć parskania śmiechem.

- Tu w prawo na skrzyżowaniu, za znakami na Cembrzaste. Za pięćset metrów będzie zjazd w lewo w szutrową drogę, a za kolejne pięćset leśny parking. Stamtąd będzie najbliżej. – Pochyliła się do przodu w ostatniej chwili. – Siedz, Bandziorek.

Pies, zwietrywszy wodę i las, wystawiał łeb przez uchylone okno i niecierpliwie przebierał łapami.

Wysiedli na wysepce przed szlabanem, powstrzymującym kierowców przed wjazdem do lasu, który był strefą buforową wokół specjalnych stanowisk ochrony. Bandyta wyrывał się w kierunku Jeziorek, ale Rozalia przytomnie przywołała go do nogi.

- Siad, pies. Żebyś mi jeszcze łapsko stracił? Zostań.

Adam obszedł samochód i czekał, aż Rozalia zapnie psu obrożę ze smyczą, Edyta w ślad za nim wysunęła się na ścieżkę.

- W aucie są zapasowe trepy, może byś zmieniła na nie te sandały? Z wnykami nic nie wiadomo, a jak dobrze ukryte...

Niechętnie, lecz starając się nie tracić dobrego humoru, Edyta skorzystała z sugestii.

Sama Rozalia była zrośnięta ze służbowymi oficerkami z demobilu, które po znajomości kupował dla niej co jakiś czas Marek.

- No, dobrze, że mi przypomniałaś. Jakoś zapomniałam z tego pośpiechu zabrać moich z domu. – Edyta, zdeterminowana,

znalazła się znów przy Adamie. Naturalnie, nie posiadała ani jednej pary butów, które nadawałyby się na wycieczkę do lasu.

- Chodźmy. – Rozalia wysunęła się na przód wraz z Bandytą, którego trzymała krótko na smyczy.

- Czekaj, pójdę przodem. Tędy, tak? – Adam wsunął ręce w kieszeni, wymijając dziewczynę z psem na ścieżce.

- Do strugi i w prawo aż do takiej powalonej jodły.

Edyta wsunęła się na ścieżkę obok niego, zupełnie zbędnie mrugając porozumiewawczo do Rozalii, która poczuła się nagle jak piąte koło u wozu.

Ruszyli. Rozalia na tyle dobrze знаła swoją kuzynkę, żeby wiedzieć, że czterokrotnie potknięcie się Edyty o wystające korzenie – albo własne stopy – były zupełnie przypadkowe. Niezdarność wpisywała się jednak w plan działania przedsięwzięcia amantki, bowiem czujny pan doktor Szechyński usłużnym ramieniem zawsze ratował damę z opresji.

- Tu wolniej, bo tu też lubią zastawiać – ostrzegła, kiedy w prześwitach dostrzegała już płynną zieleń leśnego stawu.

- To pójdę dalej sam, żebyście się przypadkiem nie wdepnęły. Rozmontuję i wracamy.

- Pomogę ci – zaoferowała Edyta.

- Nie chciałbym, żeby mi w te wnyki wpadła taka sarna.

*No, brawo* – pomyślała Rozalia. Wysiłki Edyty zaczynały się opłacać.

W tym jednak momencie Adam odwrócił się, żeby sprawdzić, gdzie jest Rozalia. W jego poważnych oczach grała ironia.

Mętne wspomnienie podobnej sytuacji przesunęło się przed jej oczami. Zupełnie jakby widziała już Adama Szechyńskiego, odchodzącego powoli leśną ścieżką, oglądającego się przez ramię. W tym obrazie mężczyzna uśmiechał się do kogoś, kto za nim kroczył. Szybko coś mówił, potem przystanął. Wybuchając śmiechem, odrzucił głowę do tyłu.

Rozalia stanęła w miejscu. Czuła dziwny niepokój, nie mogąc przypisać temu dziwnemu wrażeniu miejsca i czasu. Obraz ulotnił się, spłoszony przez stukot, który rozległ się nad jej głową. Spojrzała w górę i odszukała wśród gęstwiny czerwieniący się łepiek pracowitego dzięcioła.

Zawahała się, czy nie powinna ruszyć za weterynarzem nad same sadzawki, choćby z czystej ciekawości. Ale co innego narażać siebie, a co innego płodziki.

- Stój, Edzia. – upomniała kuzynkę, która postąpiła w ślad za Szechyńskim. – Nogi najlepiej jest mieć dwie.

Kilkanaście kroków dalej Adam pochylił się za kępą paproci.

- Koza? – odruchowo zapytała Rozalia.

- Tak – odpowiedział, pozornie obojętnie. – Bardzo szybko, na szczęście.

Zwierzęta we wnykach mogą konać całymi dniami.

- Ale że co? – Edyta patrzyła to na kuzynkę, to na leśniczego.

- Chodź, Edzia, po co ci to widzieć. – Po wczorajszych doświadczeniach Rozalia chciała ochronić delikatny żołądek przyszłej pani prawnik przed ponowną rewoltą, jak również i jej ego przed upokorzeniem.

Edyta, pojawiwszy, o czym mówią, odwróciła głowę z niesmakiem.

- Niech się pan rozejrzy, może kozłęta są gdzieś niedaleko – zasugerowała Rozalia.

- O, tam! Sarenki!

Rozalia i Adam oboje popatrzyli w kierunku wskazanym przez Edytę. Skulone ze sobą dwa kilkutygodniowe kozłęta leżały pod skarpą. Na tle ich szarawych sukienek odcinała się biała nylonowa żyłka.

- Sukinkot – szepnęła Rozalia, nieświadomie naśladowując to, co w takiej sytuacji usłyszałyby od Marka.

Tymczasem Edyta bez namysłu zaczęła przedzierać się w stronę kozłąt. Rozalia poczuła ucisk w żołądku, zanim jeszcze zrozumiała, dlaczego powinna czuć strach.

- Edzia, stój, oszalałaś? Patrz pod nogi!

Odruchowo podbiegła do niej i złapała ją za ramię.

Poczuła przeszywający ból w łydce, a oczy napłynęły jej łzami. Chciała złapać powietrze, żeby się otrząsnąć i spojrzeć w dół, ale nie mogła znaleźć ani odrobiny tlenu dookoła. Nie czuła nawet, jak upada.

### Rozdział 3

Widziała las do góry korzeniami. Sufit w miejscu, gdzie powinna znajdować się podłoga. Słyszała dobiegający z głębin jaźni ludzki głos i zwierzęcy pisk. Potem obrazy, mnóstwo obrazów pełnych bólu i nadziei. Zrozumiała, że widzi nieszczęśliwe sny chorych ludzi. Wyraźne i natarczywe, przytłoczyły ją nieznośnym ciężarem tak mocno, że uciekła we własny sen, pozbawiony marzeń.

Obudził ją ten sam zwierzęcy pisk. Przypomniała sobie dwa skulone koźlęta. Ale to nie koźlęta. Jej własne dziecko? Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

- Czy z dzieckiem wszystko w porządku? – usłyszała własny głos. Była świadoma. Otworzyła oczy.

Zgodnie z oczekiwaniami, zobaczyła szpitalną salę, a nad sobą rozmazane kontury twarzy. Po wąsach poznała Marka. Za nim, z nieokreślonym wyrazem zdumienia i złości, stał Adam Szechyński. Poznała go tylko po wzroście. Nie mogła skupić wzroku. Jakaś maszyna piszczała rytmicznie wprost do jej ucha. Bolała ją głowa. Bolała ją noga. Próbowwała się nie skupiać na cierpieniu, tylko na tym, co ważne.

Odruchowo sięgnęła do brzucha i poczuła ulgę, wyczuwając ledwie zarysowaną kopułkę, chroniącą dziecko.

- Pójdę po lekarza – powiedział Adam i wyszedł.

Widziała, jak zatrzymuje się w drzwiach i przez chwilę pa-trzy wprost na jej ręce, obejmujące brzuch.

- Co z dzieckiem? – powtórzyła, spanikowana brakiem od-powiedzi.

- Wszystko w porządku, córuchna.



Pozwoliła, żeby te słowa zaszumiały jej w głowie jak dojrzale, pełne smaku wino. Szum w głowie narastał zresztą, od kiedy tylko otworzyła oczy.

- A koźleta?

- Jedno tylko przeżyło. Karmimy go z butelki, ale już i przyjmuje pokarm roślinny. Smarkatek... Do lasu pewnie nie wróci, bo będzie kulał. Wczoraj my mu wybieg postawili. Adam go opatrywał.

- Jak to, wczoraj?

- Przespałaś.

Próbowała sobie coś przypomnieć, ale ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był świat do góry nogami. I krew, farbująca jej dżinsy rdzawą plamą, kapiąca na pióropusze paproci.

Spróbowała poruszyć nogą i poczuła nieznośne rwanie w łydce.

- Znieczulenia ci nie dadzą, obawiam się. – Marek pogłaskał ją po ręce.

Dopiero teraz jego rysy wyostrzyły się i nabrały wyrazu troski.

- Rosół dostałeś? Był w samochodzie, w bańce. – powiedziała.

- Pyszny był.

- A Edzia jakiegoś kleszcza nie przyniosła? Tyle razy jej mówiłam, żeby do lasu nie chodziła w szortach.

- Prosiła Adama, żeby ją pooglądał. – Marek mrugnął porozumiewawczo. – Dzwoniła tu wczoraj rano, jak była w Sanoku, a dzisiaj ma jakieś ostatnie zaliczenie na uczelni. A ty córcia o cały świat się pytasz, tylko o siebie nie?

- Źle jest?

- Nie jest – odpowiedział lekarz, który stanął właśnie w drzwiach.

- Cześć, Kuba. – Uśmiechnęła się na widok jego przyjaznej, sympatycznej twarzy. – Chyba nie powiesz, że mi nogę ginekolog zszywał?

Jakub Wojnicki był jednym z przystanków w amorycznej podróży Edytki. Jak zwykle w takich przypadkach, po szybkim i bezbolesnym zakończeniu miłosnej historii, został dobrym przyjacielem jej kuzynki. Rozalia zazwyczaj lubiła mężczyzn Edyty i doceniała bardziej od niej samej. Łatwo się nudząc, Edyta zaczynała szukać nowego celu. Rzadko kiedy starała się o podtrzymanie znajomości z rozkochanym, a następnie porzuconym bez ostrzeżenia mężczyzną. Rozalia twierdziła, że jej kuzynka nie zdaje sobie sprawy, jak dobry gust ma do mężczyzn. Wszyscy oni cierpieli potem dotkliwie, lecz krótko, i wyłaniali się z tej miłosnej przygody bogatsi o przyjaźń z pocieszycielką i powierniczką, Rozalią.

Jakub nie był może w typie urody amanta, dla jakich Edyta zwykle traciła głowę (*vide* Adam), ale był zadbany i wysportowanym facetem. Historia między nimi była przedpotopowa, bo wydarzyła się, kiedy Edyta była w klasie maturalnej, a Rozalia miała piętnaście lat.

I tak jak wtedy, kiedy miała piętnaście lat, Jakub usiadł przy niej, zsunął z nosa okulary swoje i Rozalii i zaczął splatać jej włosy. Rozalia miała z Jakubem swoją małą historię, o wiele mniej spektakularną niż burzliwe, dramatyczne przejścia Edytki. Kiedy Rozalia była w klasie maturalnej, a Jakub właśnie rozpoczął staż w szpitalu w Woli, zaprosiła go na studniówkę. Odwiózłszy ją nad ranem do domu, złapał za jej warkocz i nachylił się, żeby ją pocałować. Nie pozwoliła mu, zasłaniając się lojalnością wobec Edyty. Nie przyznała się nigdy, że była to raczej trema przed pierwszym pocałunkiem.

- Najpierw pozbędziemy się kurtyny, żebyś cię mógł obejrzeć – powiedział, odgarniając nastroszone kosmyki z jej czoła. – I nie, zszywał cię specjalista krawiec, nie ja.

- No, to co jest, doktorku? – spytała, kiedy z kieszonki wygrzebał kawałek nitki do związania warkocza.

- Jest szwów szesnaście. Po wewnętrznej stronie łydki nad cholewką buta drut otarł się tylko o kość, ale jej nie uszkodził, na całe twoje szczęście. Gdyby nie oficerki, to byś do końca życia skakała na jednej nodze. Niestety, na kostce drut przerwał skórę buta. Dostałaś zastrzyk przeciwwężcowy i transfuzję krwi, za moją sugestią. Masz niefortunnie tętnicę grzbietową w stopie umiejscowioną zaraz pod skórą. Jak haratnęło, to tryskaniu nie było końca.

- Nie ma to jak profesjonalna medyczna diagnoza. Ale czy przetaczanie krwi nie jest niebezpieczne dla dziecka?

- Krew oddał pan Adam, więc w razie draki będziemy go szarpać za fraki. – Uśmiechnął się, zadowolony z przypadkowego zrymowania. – U nas, wiadomo, wakacje, zero minus skończyło się przedwczoraj. Do zastrzyku nie widziałem przeciwskażeń. A ty na razie leż. Może za jakiś tydzień cię wypiszę, jak będziesz grzeczna.

- Tydzień?

- Za dobrym sprawowaniem. – zastrzegł, podnosząc w górę palec.

- Boli mnie trochę.

- Jak boli, to znaczy, że nie odpadnie. – Zasadził jej na nos okulary. – Czego nie mogę powiedzieć o rękach pana Adama, który cię po tym lesie niósł aż do karetki. No, to rzućmy okiem – wyjął z pudełka parę sterylnych gumowych rękawiczek. Rozalia przełknęła ślinę.

Delikatnie podniósł cienką kołdrę w spranej poszewce.

Zaobserwowała, jak Marek odwraca głowę i zagryza zęby. Jakub zaczął fachowo, delikatnie odwijać gruby opatrunek. Nie mogła powstrzymać cichego stęknienia, kiedy od przyschniętych w kilku miejscach ran oderwała się gaza.

Mięsień brzuchaty – przypomniała sobie z wykuwanych do matury z biologii schematów ludzkiego ciała. Po obu stronach łydki biegł czerwony półksiężyc, nakrapiany ciemnoniebieskimi guzł-

kami szwów. Wydawało jej się, że gdy tylko napnie swój – mięsień brzuchaty właśnie – misterne supełki pękną z trzaskiem i głęboka szrama rozewrze się na powrót. Tuż przy kostce prostokątny przylepiec różowił się z lekka świeżą krwią. Nie wyglądało to jednak tak źle, jak się spodziewała.

- Ładnie jest – stwierdził Jakub, zadowolony. – Chirurgiem nie jestem, ale ropy nie ma, obrzęku nie ma, nie jest za ciepła. – delikatnie przesunął palcami po miejscu zranienia. – Chcemy uniknąć zakażenia, żeby nie musieć się posuwać do antybiotyków.

- Żadnych antybiotyków – szepnęła.

- Spokojnie. Zawołam pielęgniarkę. Nie ryzykujemy: trzy razy dziennie zmiana opatrunku i roztwór przeciwzapalny. A ty leżeć. Zdrowieć.

- Dzięki, Kuba.

W odpowiedzi pogłaskał tylko rękę, którą nieświadomie zaciskała na pościeli.

Po wyjściu pielęgniarki Rozalia poczuła, jak początkowe oszołomienie opada. Całe ciało wydawało jej się sztywne, obolałe i ciężkie. Marek wciąż siedział na metalowym stołku i patrzył przez okno w milczeniu. Kiedy tylko znajdował się w czterech ścianach, wybiegał wzrokiem w przestrzeń. Prawdziwy dzikus, leśny człowiek.

- A ty to nic do robienia nie masz? – zapytała bez uszczypliwości. – Na pewnoś przywiózł masę pomysłów i roboty z „Ostoi”.

- Wszystko ci opowiem, ale nie dzisiaj – powiedział.

- Jesteś zły na mnie? Na pana Adama?

- A tam, zły. Mało to razy sam cię do lasu zabierałem? Mało to razy sama chodziłaś? Mogło się przytrafić i wtedy. Niemiło mi cię tylko widzieć tak, córuchna. Zwłaszcza teraz.

- To i ja teraz wiem, że nie powinnam była wychodzić. A ile czasu ty tu już siedzisz, co? – Próbowwała zrobić srogą minę. – Na tym stołku jeszcze. Przecież żelastwo wygląda jak narzędzie tortur.

- A co, zmęczonaś, córuchna?

- Nie wyganim cię przecież. – Bardzo chciała, żeby został z nią, choćby przez całą noc. – Idź chociaż nogi rozprostuj, kawę się napij.

Minął się w drzwiach z Adamem. Młody weterynarz wniósł dwie pełne siatki i położył je na stole. Nie usiadł na pustym teraz taborecie, stanął tylko z rękami w kieszeniach i patrzył przez okno, mrużąc oczy przed słońcem.

- Chciałem cię przeprosić – powiedział po chwili, cicho. – To było skrajnie nieodpowiedzialne z mojej strony, zabierać cię do lasu w twoim stanie.

- Skąd mógł pan wiedzieć? Gdybym miała następować na sidła za każdym razem, kiedy idę do lasu, dzisiaj nie miałabym nóg. Sam pan wie, że takich sideł ciężko jest nie zauważyć. Edyta... Głupi odruch po prostu.

- To mnie nie usprawiedliwia.

- Proszę się nie morderkować, panie Adamie. – Uśmiechnęła się, chociaż wciąż na nią nie patrzył. – Z nami wszystko w porządku. I niech mi pan wierzy, że powtórkę nie będzie. Jeśli ktoś tu był nieodpowiedzialny, to ja. Nie pierwszy zresztą raz.

Przez chwilę wydawało się, że zaprzeczy, ale tylko zacisnął wargi i patrzył, jak Rozalia kreśli palcem kółka po swoim brzuchu.

- Adam – powiedział.

- Słucham?

- Mów mi po imieniu. Czuję się jak wapniak.

Nie potrafiła określić jego wieku. Szczególna powaga zaciętych ust i chmurność oczu dodawały mu lat. Adam Szechyński wydawał się tkwić w stanie chronicznego przygnębienia, rozgoryczenia dyktującego jakąś chłodną rezerwę w jego zachowaniu. Adam z jej dziwnego niby-wspomnienia był zupełnie innym człowiekiem. Wyglądał młodziej niż ten realny, nie przez faktyczny stan ciała, ale przez beztroskę, lekkość, swobodę z jaką się śmiał.

*Szkoda – pomyślała.*

Rozalia wciąż była w tym płynnym momencie życia, już nie dziewczyną, jeszcze nie kobietą. Stale miała problem z określeniem, jak zwracać się do osób starszych wyraźnie, ale nie na tyle, żeby ich swobodnie zaliczyć do innej grupy wiekowej. Zazwyczaj decydowała się na „pan”. Jeśli wziąć pod uwagę regułę ustanowioną przez poprzedników, Adam był na najlepszej drodze do utworzenia przyjaźni z Rozalią, gdy tylko Edyta złamie jego serce i zwróci oczęta na innego.

- Dobrze – zgodziła się. – Ja jestem Rozalia. – powiedziała, a rozważając jego wzrok uciekający w kierunku jej brzucha dodała: – A to jest Kalina.

- Uważaj na siebie. Na was – powiedział Adam dziwnie zduszonym głosem. Wymusił odkaszlnięcie. – Ja muszę uciekać, bo mieliśmy zgłoszenie. Ktoś znalazł lochę potrąconą przez samochód na drodze pod Białą Górą. – Wzruszył ramionami przepraszając.

- Będiesz szukał barłogu sam? Tam co prawda las niewielki, ale gęsty.

- Pan Hawart zgodził się pomóc. Mam GPS. Marka nie chciałem angażować, ma za dużo na głowie.

Rozalia uważała co prawda, że Markowi przydałoby się jakieś zajęcie, ale też obawiała się o jego zdrowie, dlatego skinęła głową.

Adam pożegnał się z nią prostym „cześć”. W drzwiach minęli się znów z Markiem, niczym zmieniający wartość żołnierze.

*Co za dziwny gość* – pomyślała raz jeszcze, z wzrokiem utkwionym w wąskim korytarzyku szpitalnym, gdzie zniknął z jej oczu. *Sztynny jakiś taki. Czy smutny.*

Marek zasiadł na swoim zydelku i popijał kawę z plastikowego kubka, patrząc w różowiejące niebo za oknem. Rozalia poczuła się zmęczona, ale walczyła ze snem. Przeszukała przyniesione przez Adama reklamówki, w których zgromadził ciężowy *survival kit*, od bananów, jogurtu i pełnoziarnistego chleba począwszy, poprzez zestaw „100 Jolek” i tomik poezji Przerwy-Tetmajera,

na fiolce kwasu foliowego i rozpuszczalnych pastylkach wapnia skończywszy.

Rozwiązała dwie krzyżówki, zjadła banana z jogurtem i odesłała szpitalną kolację, na którą składały się dwie kromki suchego chleba, kawałek mortadeli i skibka masła. Pogapiła się w telewizor, który wyłączył się, gdy wygasła zapłacona przez Marka złotówka. Przyjęła to z ulgą, bo brazylijska telenowela potęgowała huczenie w jej głowie. Wzięła do ręki „Preludia – Poezje. Serię Drugą” i na chwilę zatraciła się w rytmie znajomych pasaży. Najwyraźniej Marek doradził Adamowi, jaką lekturę przynieść. Rozalia lubiła poezję. Nie miała czasu ani cierpliwości do czytania wielotomowych, wielowątkowych powieści. Wiersze były dla niej jak literacka pigułka, którą można połknąć gdziekolwiek, kiedykolwiek. Lubiła ich rytmiczność i melodykę, dźwięczność dobrze dobranych słów, zaskakujące zestawienia, metaforykę, ich emocyjność i sugestywność. Wiersze były to historie, zupełnie jak powieści i opowiadania – tyle że podane z mniejszą ilością szczegółu, pozostawiające pewien niedosyt, grające na wyobraźni. Poezje Kazimierza Przerwy-Tetmajera były jak starzy, dobrze jej znani przyjaciele, przynoszący komfort w obcym miejscu. Wkrótce zawędrowała jednak pomiędzy pasażerów erotyków, których emocjonalne naładowanie poruszyło jakąś tęskną, żalną strunę w głębi Rozaliny duszy.

*Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą,  
słowa twe dziwnie poją i kołyszą,  
jak kwiatem, każdym słowem twym się pieszczę  
mów do mnie jeszcze...<sup>5</sup>*

Zamknęła tom z impetem, poirytowana.

Potem leżała długo bez ruchu, walcząc przez chwilę ze snem. Koncentrowała się na natarczym, jednostajnym szumie

---

<sup>5</sup>Kazimierz Przerwa – Tetmajer, „Mów do mnie jeszcze”.

we własnej głowie, który wygłaszał pełne trwogi i niepokoju sny z głów śpiących dookoła pacjentów. Była już zmęczona pobytem w szpitalu, a przed nią rozciągała się głęboka przepaść czasu. Będzie musiała się poświęcić, dbać o siebie i być ostrożna. I zrezygnować z chodzenia do lasu. Zrezygnować z wszystkiego, co mogłoby zagrozić Kalince.

- Marek. To ja chyba już nie wrócę na studia – wyszeptła, odgarniając włosy znad spoczonego czoła. – I nie pójdę w twoje ślady. To koniec tego wszystkiego, tego marzenia. Muszę zmienić moje marzenia.

- No co ty pleciesz – mruknął, ale słyszała jego głos już zza grubej kotary swojego snu.

Kiedy ocknęła się pod wpływem hałasu, było już ciemno. Marek spał zgięty na stoliku, z głową w zagłębieniu łokcia. Pielęgniarki ulokowały pacjentkę w łóżku obok. Kobieta w zaawansowanej ciąży natychmiast wyjęła z torby tabletki i zajęła się przegłędaniem plotkarskich portali w Internecie, nie wysilając się nawet na zdawkowe powitanie.

Marek śnił o wydarzeniach dnia. Jego sen przepętlony był nerwowym strachem. Widziała, jak Jakub odsłania ranę na jej nodze i czuła chwytającą jego serce panikę. Cofnął się, a wraz z nim cofnęła się Rozalia, do telefonu otrzymanego od Adama. Widziała, jak przemierza samochodem Polskę, próbując do niej dotrzeć. Niekończąca się droga ginęła w mroku, a na jej końcu znajdowała się ona. Rozalia z trudem złapała powietrze i zrozumiała, jak bardzo Marek się bał, i jak głęboko stary przyrodnik czuł. Widziała siebie pogrążoną we śnie. Poczwała na ramieniu – na ramieniu Marka – mocny uścisk.

- Panie Marku, już po najgorszym. Słyszał pan, co powiedział lekarz. Są oboje bezpieczni. – Głos Adama, zwielokrotniony echem, rozniósł się po wszystkich korytarzach szpitala.

A potem jeszcze strzępy jakiejś rozmowy, która być może się odbyła, a być może miała miejsce tylko w głowie Bugaja.



- Całe życie sama... Wzięli ją do siebie, ale co to za rodzina? Widziałeś, żeby ktoś tu przyszedł do niej...? Ty wiesz, że ojciec zostawił jej matkę, kiedy się urodziła? A matka zabiła się, zanim ją odstawiła od piersi... Ludzie zawsze szepczą dookoła niej, a szepty czasem lepiej słycać niż krzyk. I teraz to dziecko. Nic dziwnego, że zaufała pierwszemu lepszemu. Może pierwszy raz poczuła, że nie jest sama... Zawsze była sama. Całe życie sama.

Położyła rękę na szczupłym przedramieniu Marka i ścisnęła lekko. Co za niepoważny, niepoważny człowiek. Chciała wybudzić go z tego snu. Jak zraniona sarna, osierocony królik albo zaplątany w sidła lis, przywiązała do siebie Marka przez jego współczucie do wszystkiego, co bezbronne, porzucone i biedne. Opiekował się nią jak rannym zwierzęciem, z oddaniem, na jakie stać tylko zupełnie bezinteresownych ludzi.

- Marek? – ścisnęła go za ramię.

- A co, córcia, gorzej ci? – szarpnął głową i przez chwilę szukał w jej twarzy. Widziała, jak zwężają się powoli jego źrenice.

*Nigdy nie byłam sama* – chciała mu powiedzieć, ale nie zdobyła się na odwagę.

- Nie, lepiej. Już mi lepiej.